Sczytane: Janusz Tadeusz Nowak
Weryfikacja: Zbigniew Solak, Jan Sienkiewicz

Dziennik
rok 1915 (sierpień-wrzesień)
Mateusz Rzymski
28/VIII 1915
Departament Wojskowy N.K.N. Piotrków
Michał Römer
tom IX

28 sierpnia, rok 1915, sobota
Mieliśmy wyjechać wczoraj w nocy, ale porucznik Szenk odłożył wyjazd na dziś, bo z czymś jeszcze nie był gotów. Rzeczy mam już spakowane; wszystko, co biorę ze sobą, mam złożone w plecaku, który wypchał się porządnie. Odzienie cywilne i rozmaite rzeczy zbyteczne złożyłem do walizki, którą zostawiłem na opiece p. Zenona Wierzchowskiego w Departamencie Wojskowym. Zrozumiałem wczoraj ze słów Szenka, że wyjeżdżamy dziś w południe. Koło południa więc pożegnałem powtórnie moich gospodarzy kwatery, od których przez czas pobytu tutaj doznałem dużo uprzejmości, i ubrany znów za legionistę, jak przed miesiącem, wyruszyłem na dworzec kolejowy. Na próżno jednak. Szenka nie doczekałem. Zalokowałem więc plecak i płaszcz na przechowanie na stacji i poszedłem do Szenka po informacje. Powiedział, że to była pomyłka moja i że jedziemy dziś w nocy. Cały dzień przesiedziałem w domu. Do Departamentu się nie pokazałem, bo ubiór legionisty krępuje mnie jeszcze. Po mieście też się nie wałęsałem.
Z wypadków wojennych komunikat wojenny przyniósł wieść o zajęciu twierdzy Olity na Niemnie. Rosjanie ewakuowali się sami. Jeszcze upadek jednej twierdzy! Moskale tracą wszędzie stanowiska. Upadek Olity jeszcze bardziej zagraża Wilnu, niż to było dotąd. Brześć otworzył drogi na Białoruś i Polesie, Kowno i pozycje niemeńskie – na Litwę.
Wieczorem o godz. 9 poszedłem do mieszkania porucznika Szenka, gdzie miałem czekać, aby z nim razem na kolej wyruszyć, ponieważ sam po godz. 9 wieczór, jako szeregowiec, bez specjalnej przepustki po mieście chodzić nie mogę. Szenka nie zastałem, jeno jego żonę i szwagierkę. Czekałem u nich bez końca, Szenk nie przychodził. Minęła wreszcie godzina wyjazdu – Szenka nie było. Nie mogłem wracać do domu, bo mi za późno było iść samemu. Przykro mi było, bo kobiety Szenka musiały z mego powodu siedzieć. Prosiłem, aby mi pozwoliły usiąść w przedpokoju, ale były tak gościnne, że zatrzymywały mnie przy sobie. Dowiedziałem się od nich dużo o Szenku, prawdziwym męczenniku moskiewskiej przemocy. Był skazany po r. 1905 na śmierć, „ułaskawiony” na katorgę bezterminową; przesiedział 7 lat w więzieniu, aż go ta wojna oswobodziła, gdy Moskale uciekać musieli. Dopiero o godz. 1 w nocy przyszedł Szenk, oświadczył, że znów jutro wyjeżdżamy i odprowadził mnie do domu.

29 sierpnia, rok 1915, niedziela
Siedziałem przez cały dzień w domu, nie wychodząc na miasto i czekając znów nocnego wyjazdu, a nie będąc pewnym, czy istotnie wyjedziemy. Głowa mnie bolała. Siedzenie z dnia na dzień na wyjezdnym, bez rzeczy, nic nie robiąc, jest przykre. Już trzy razy żegnałem gospodarzy mojej kwatery i szedłem, by odjechać, a zawsze wracałem. Gospodarze wątpili, czy dziś wreszcie wyjadę. Przyjechała do nich jakaś kuzynka z Warszawy, zaciekła moskalofilka, z którą gospodarz mój, uleczony w

ostatnich czasach całkowicie z moskalofilstwa, staczał przez cały dzień dyskusyjną wojnę; ja się też do niej mieszałem dla zabicia czasu, druzgocząc argumenty moskalofilskie. Wreszcie doczekałem się wieczora.
Teraz już poszedłem nie do mieszkania Szenka, lecz wprost na dworzec kolejowy przed godz. 9. Kupiłem gazetkę i poszedłem na piwo do kantyny dla wojskowych przy kolei, aby tam przeczekać do godz. 11. W kantynie przy dobrym piwie gwar był nie lada; kolejarze niemieccy, sanitariusze Niemcy i kilku żołnierzy austriackich piło i śpiewało, bratało się, wznosiło wiwaty i wygłaszało do siebie nawzajem mowy. W gazecie najciekawsza nowina o przełamaniu frontu rosyjskiego nad Złotą Lipą w Galicji na szerokim froncie od Brzeżan aż ku Podhajcom. Wypadnie Moskalom uciec i stamtąd, gdzie się jeszcze utrzymywali. Poza tym, armie zwycięskie zbliżają się do Łucka, ku Kobryniowi, w głąb Białowieży, na Grodno. Koło godz. 11 wróciłem z kantyny do poczekalni, gdzie zastałem już całe grono jadących z Szenkiem. Wkrótce przyszedł i Szenk. O godz. 11 ½ wyjechaliśmy wreszcie w kierunku na Koluszki. Jedzie z nami koło 8-10 skautów młodocianych, sierżant Nabielak[1], plutonowy Sikorski[2], drugi sierżant jeszcze, którego nazwiska nie wiem, i dwóch szeregowców-legionistów oprócz mnie.

30 sierpnia, rok 1915, poniedziałek
Do Koluszek dojechaliśmy koło godz. 1 w nocy. Tam natrafiliśmy na pociąg wojskowy, który nas zawiózł do Tomaszowa, granicznego punktu okupacji niemieckiej. W Tomaszowie z jakąś godzinkę, dwie przedrzemaliśmy, jak kto sobie radził, na ławkach dworca kolejowego, który tu wyjątkowo ocalał. Stamtąd austriackim pociągiem wojskowym wyruszyliśmy dalej na Skarżysko. Ze 2-3 godzinki pospaliśmy na ławkach wagonów. Potem powstawaliśmy i zabawialiśmy się rozmową, względnie obserwacją kraju. Jedziemy przez kraj, z którego Moskale dopiero przed paru miesiącami wyparci zostali. Budynki stacyjne porujnowane, mosty kolejowe także, okolica wszakże, wsie i miasteczka wyglądają nieźle – ocalały. W Skarżysku czekamy parę godzin. Nabielak wystarał się dla nas kiełbasy i chleba; herbaty, kawy, piwa dostajemy w kantynie. Gromadka nasza po trochę się zżywa ze sobą; skauciki miłe, sprytne, bardzo żywe, śpiewają w drodze. Dowiadujemy się o pociągu towarowym, odchodzącym do Radomia; są to platformy, naładowane drzewem przyrządzonym na szpały do naprawy kolei. Pakujemy się na platformy i jedziemy. Miło tak jechać na wolnym powietrzu, mając przed sobą otworem widok, na który się z wysoka patrzy. Jedzie się tak jak końmi. Towarówka wlecze się, czasem pędzi szybko. Olbrzymi wąż pociągu, ciągniony przez dwie lokomotywy, biegnie przez kraj coraz bardziej zrujnowany. Zwłaszcza za stacją Jastrząb ślady wojny i zniszczenia okropne. Mijamy liczne okopy; wsie są do tła zniszczone od pocisków armatnich, drzewa pokaleczone, miejscami widać pozycje baterii to znów jamy i wyrwy od pocisków. O godz. 4 przyjeżdżamy do Radomia. Dowiadujemy się, że pociąg do Dęblina będzie dopiero o godz. 9. Skauci zostają w poczekalni wojskowej, dużej kantynie, z nimi dyżuruje jeden z nas wojskowych. Inni idą na miasto. Ja też poszedłem na półtorej godzinki zwiedzić Radom. Miasto dopiero niedawno, coś przed 1 ½ miesiącem, oswobodzone od Moskali. Szyldy jeszcze wszędzie na mieście dwujęzyczne, rosyjsko-polskie; napisy moskiewskie rażą. Tylko na paru sklepach zrzucone są rosyjskie napisy (w Piotrkowie rosyjskich napisów nie ma już wcale). Radom wydaje mi się większym od Piotrkowa. Publiczność dość ciekawie

---

[1] Nabielak – bliższych danych brak
[2] Franciszek Sikorski (1889-1940), kapitan w Legionach, dowódca batalionu w 3 pułku piechoty, następnie 4 pułku piechoty. Po kryzysie przysięgowym w armii austriackiej. W Polsce niepodległej generał brygady. Zamordowany przez Rosjan w Starobielsku.

spogląda na legionistę. O godz. 6 wracam na dworzec. Koło godz. 9 gromadzą się wszyscy. Ale pociągu na Dęblin dziś nie będzie. Szenk z Nabielakiem przez Komendę otrzymują dla nas kwaterę. Maszerujemy do niej poprzez miasto, plecaki zaś nasze jadą dorożką. Kwatera to duże puste mieszkanie, obliczone na 60 osób. Zajmujemy dwa pokoje. W jednym kącie układają się skauci, w drugim – Nabielak, Sikorski i ja, na podłodze na własnych kocach.

31 sierpnia, rok 1915, wtorek
Wyspaliśmy się w Radomiu po pochodnemu. Prosto na podłodze, na kocach, otuleni w płaszcze, ewentualnie w brzegi tychże koców. Skauciki w sąsiednim pokoju polegli na słomie. Ze względu na możliwość wszy, które mogły być w słomie kwatery żołnierskiej obecne; woleliśmy nasze koce od słomy. Niestety – wszy to konieczność na linii; podobno dostaje się ich zaraz w pierwszym dniu przyjazdu, ale zawsze woleliśmy opóźnić naszą pierwszą z nimi znajomość. W nocy mieliśmy wizytę kilkudziesięciu chłopów z wojskowego oddziału robotniczego austriackiego, których jakiś kapral wprowadził na nocleg do naszej kwatery. Wwaliło się to hurmem i zaczęło się rozbierać i rozkładać na tejże, co my podłodze. Nabielak powstał przeciw temu z energią i w mundurze sierżanta narzuconym na bieliznę dla dodania sobie powagi, wylał intruzów do sąsiednich próżnych pokojów. Rano wstaliśmy i jeszcze do południa zabawiliśmy w Radomiu. Gdyśmy w południe szli z Sikorskim przez miasto ze skaucikami naszymi, z plecakami na sobie, ludność się nam przyglądała i niejeden z pewnością patrzał na nas ze zgorszeniem, jak na „uwodzicieli" młodzieży, sądząc, żeśmy tych młodocianych chłopaków zwerbowali tu do Legionów i prowadzimy ich na krwawe pole, na śmierć, na wojnę. O godz. 1 z minutami odjechaliśmy na Iwangród. Im bliżej Iwangrodu, tym więcej śladów wojny i zniszczenia; ciągłe okopy, druty kolczaste, ruiny, dziury w ziemi, im dalej, to coraz powszechniej. Wjeżdżamy wreszcie do pasa fortecznego Iwangrodu. Pociąg przecina wprost jeden z fortów lewobrzeżnych, sforsowany przez zdobywców. Wkrótce stajemy, przed nami o jakieś ½ kilometra Wisła, przez którą przejść musimy pieszo przez most pontonowy. Nie wiemy czy z Iwangrodu (Dęblina) chodzi kolej na Łuków, czy nie, w tym drugim wypadku pojedziemy furmankami. Szenk jest zwolennikiem furmanek przed koleją, nawet gdyby kolej funkcjonowała. W twierdzy ruch olbrzymi wojskowy; cywilnych zgoła nie widać; snują po drogach automobile, furmanki, snują żołnierze i szeregowcy; tu olbrzymie zapasy, całe góry siana, słomy, stada bydła rzeźnego, tam wre praca ziemna, murarska, techniczna – wreszcie nawet młócka. Widać też zajętych pracą jeńców rosyjskich; wygląd mają wesoły, gwarzą z Austriakami, meldują coś o pracy oficerom, rozglądają się dobrodusznie, z wesołą prostotą. Idziemy przez most, idziemy dalej w stronę dworca kolejowego. Gdzieniegdzie stajemy, a nasz „sztab" (porucznik Szenk, sierżanci Nabielak i Rusak[3]) wyrusza po wiadomości, po kierunek naszego ruchu. Nabielak oznajmia, że pojedziemy koleją do Międzyrzecza i że da nam w Dęblinie na dworcu kolację gorącą. Gdy wszakże stajemy na stacji, narada „sztabu" decyduje, że pojedziemy furmankami. Ale w obrębie twierdzy furmanek nie dostanie. Trzeba więc iść pieszo do Ryków, wioski odległej o ± 10-12 kilometrów. Ruszamy natychmiast. Plecak, choć jest dość wielki i wypchany, nie ciąży mi; w dalszym marszu ciąży mi tylko trochę krok żołnierski, który jest dla mnie za krótki, za gęsty. W marszu szereg pod komendą Nabielaka śpiewa przeróżne piosenki, narodowe, strzeleckie i swawolne. Wreszcie po paru godzinach marszu i dwóch wypoczynkach w drodze przecinamy Kolej Dęblińsko-Łukowską przy kreowanym przez Austriaków przystanku Ryki. Paru z

[3] Rusak – bliższych danych brak.

naszych zbacza do przystanku, by się dowiedzieć na zapas, czy nie trafi się pociąg na Łuków. Wracają z wieścią, że za godzinę pociąg będzie. Decydujemy się więc na pociąg. Czekamy na przystanku od godz. 11 ½ do 1 ½ – 2 w nocy. Na stacji brak miejsca, wieje zimny wiatr. Część się lokuje w jakiejś budzie skleconej, gdzie leży pokotem.

1 września, rok 1915, środa
Z Ryków do Łukowa dojechaliśmy pociągiem amunicyjnym, w którym jeden z wagonów był przeznaczony dla żołnierzy. Już tu od Dęblina na wschód pociągów osobowych nie ma wcale i w pociągach wojskowych są wyłącznie wagony towarowe. Niewygodnie było jechać, ciasno. Nie mogłem spać wcale, jeno trochę się zdrzemnąłem, oparty łokciami o kolana. Coś koło godz. 5-6 rano przyjechaliśmy do Łukowa. Zarzuciwszy plecaki na siebie, pomaszerowaliśmy do miasteczka szukać gospody. Stacja kolejowa i część miasta od strony kolei zniszczona do tła; stoją wyłącznie nagie kominy, i to nie wszystkie. Dostajemy gospodę w jakimś lichym zajeździe. Szenk projektował po krótkim spoczynku i posiłku nająć furmanki i natychmiast ruszyć w dalszą drogę na Międzyrzecz. Liczył dotrzeć dziś jeszcze na noc do Białej Siedleckiej lub nawet do Wołczyna w gub. grodzieńskiej. Nabielak zakrzątnął się [za] śniadaniem i wkrótce z apetytem zajadaliśmy gorącą kiełbasę z kapustą; głodni byliśmy bardzo, bośmy wczoraj ani obiadu, ani kolacji nie mieli, jeno zadawalaliśmy się z konieczności paru kęsami kiełbasy wojennej z chlebem. Po śniadaniu Nabielak wyruszył na miasto, zapewne w sprawie furmanek, ale rychło wpadł z wieścią, że Komenda Legionów wraz z I Brygadą została przeniesiona z gub. grodzieńskiej na Wołyń, gdzie też rusza cała armia arcyksięcia Józefa Ferdynanda. Komenda więc i Brygada w obecnej chwili są właśnie w drodze do Chełma. Wobec tego musimy zaniechać jazdy w kierunku gub. grodzieńskiej i zmieniając marszrutę, natychmiast ruszyć do Chełmu. Byłem trochę zasmucony tą wieścią, bo wolałbym maszerować na Białoruś w kierunku na Berezynę, niż na Wołyń. Ale oczywiście dyskusji i oporu być tu nie może; jest fakt, że Legiony już są w drodze do Chełmu. Musimy wracać znów na Dęblin, aby stamtąd przez Lublin dotrzeć do Chełmu, ponieważ kolej z Łukowa na Lublin przez Lubartów jeszcze nie jest uruchomiona. Do godz. 2 po południu siedzieliśmy w zajeździe. Zabawiano się w przeróżny sposób. Śpiewano mało, bo zajazd miasteczkowy mało się nadawał do tego. Przeważnie zabawiał publiczność legionista Bydliński[4]; pierwszego dnia drogi był on milczący i robił wrażenie nieśmiałego; dopiero od Radomia nabrał czy odzyskał werwę. Jest dowcipny, utrzymuje się ciągle na stopie żartobliwej, jest pełny kawałów, a zwłaszcza ma dar naśladownictwa i zmysł komizmu i umie znakomicie przedstawiać rozmaite sceny rodzajowe. Skauciki nasze – bardzo mili chłopcy; każdy z nich to odrębna i wyrazista indywidualność; tworzą oni *status in statu* w naszej gromadce; sprzeczają się wprawdzie, kłócą między sobą, ale tworzą *sui generis* ciekawy zespół charakterów; każdemu z pośród siebie ponadawali przezwiska: jest więc „czajka”, „pipek”, „pucer”, „bomba” itd. Wszyscy się tu nawzajem tytułujemy „obywatelami” zwyczajem ustanowionym w I Brygadzie. Żal mi tych skaucików naszych, którzy jadą na ciężki trud i poniewierkę, mali bohaterowie, i mogą tam czasem rzeczy dokonać znakomitych, ale też się pomarnować, zdemoralizować, zginąć. Po obiedzie, który nam dziś Nabielak zafundował w zajeździe, wyjechaliśmy z Łukowa.

---

[4] Andrzej Hałaciński (1891–1940), ppor. Legionów. Służył w I Brygadzie, m.in. dowódca kompanii w V batalionie. Współtwórca pieśni *Pierwsza Brygada*. Po kryzysie przysięgowym w wojsku austriackim, z którego zbiegł do POW. W Polsce niepodległej awansowany do stopnia ppłka. W czasie kampanii wrześniowej ujęty przez wojska sowieckie. Zamordowany w Katyniu.

2 września, rok 1915, czwartek

Pociąg, którym wyjechaliśmy wczoraj z Łukowa, szedł przez Dęblin prosto do Lublina. Pociąg był natłoczony wojskiem, toteż jechaliśmy rozlokowani w kilku wagonach. Niektórzy jechali w wagonach końskich, ja z Sikorskim i paru skautami na platformie otwartej wśród Prusaków z automobilowego oddziału i garstki żołnierzy austriackich. Było niewygodnie, ale „*a la guerre comme a la guerre*". Stać musieliśmy w szparze między jakimś wozem a rantem wagonu. Dojechaliśmy do Iwangrodu wczoraj o godz. 10-11 przed północą. Gdyśmy się dowiedzieli, że z Iwangrodu jedziemy dalej do Lublina tym samym pociągiem, zaczęliśmy się rozlokowywać do noclegu. Mnie się wypadło położyć pod wozem na podłodze pełnej ziemi wilgotnej. Zimno było, wilgotno, wietrzno i twardo. Przez koc między szpary wiało, kości łamało, ból newralgiczny parokrotnie lewą połowę twarzy chwytał. No, ale jakoś tam było. W Iwangrodzie palą się dotąd, już prawie od miesiąca, olbrzymie składy węgla, podpalone przez Moskali przed ich ujściem z twierdzy. Groźny to musiał być widok, a i teraz jeszcze widać tam z kolei olbrzymie pole żaru i ognia z łuną nad nim. Powstawaliśmy dziś rano w Nałęczowie, gdzie pociąg nasz stał od wczesnego ranka. Nałęczów wyjątkowo ocalał, nawet budynki kolejowe i słupy telegraficzne nie były zniszczone. Długo więc w Nałęczowie nie wytrwali. Przyglądam się, jak sobie żołnierze radzą w podróży wojennej: gdzie pociąg stoi dłużej, tam wykopują sobie na polu kartofle, szukają owoców w sadach, jeżeli są w pobliżu, rozpalają ogniska, pieką, gotują sobie obiady, przy parowozie grzeją konserwy, myją się, gospodarzą. Słyszałem pogłoski wśród Austriaków o tym, że rzekomo Moskale są już w Galicji z Brodów wypędzeni, ale gazetka, którą złapałem od jednego z nowych napotkanych legionistów, nie potwierdziła tego, przeciwnie – jest w komunikatach wiadomość, że na północ od Brzeżan chwilowo postęp wstrzymany przez silne kontrataki rosyjskie; za to jest ruch pod Wilnem i Grodnem, przecięcie Kolei Petersburskiej, między tymi dwoma miastami, ostrzeliwanie fortyfikacji grodzieńskich, dalsze posuwanie się w gub. grodzieńskiej i na Polesiu.

W Dęblinie i Nałęczowie spotykamy się z całym szeregiem legionistów, którzy jadą tym samym co my pociągiem, spiesząc z różnych stron do Chełmu dla połączenia się z brygadą, Komendą, czasem z IV pułkiem. Jak zawsze – im bliżej gromady, tym więcej jej cząstek dokoła, grawitujących ku niej; ciągły odpływ i dopływ, a tam kurierzy wędrują, urlopnicy, maruderzy; pod rozmaitymi pretekstami dokonywa się obecnie akurat dyslokacja wojsk, ruch wielki. Porucznik Szenk już się rozmówił co do mnie z oficerem I Brygady Narbutem[5], który jedzie mniej więcej z nami i któremu w odpowiedniej chwili Szenk mnie przekaże, aby on mnie do sztabu I Brygady dostarczył. Do Lublina dojechaliśmy ze strasznym opóźnieniem, jeżeli zresztą można mówić o opóźnieniu tam, gdzie nie ma regularnego rozkładu ani żadnych określonych godzin. Ale słowem – jechaliśmy dwie stacje ostatnie, od Nałęczowa do Lublina, włącznie z postojami, 10 godzin. Zniszczenia kraju pod Lublinem ani w samym Lublinie nie ma prawie wcale. W Lublinie widzieliśmy gromady jeńców rosyjskich; jeńcy tam też służą i gotują w kuchni polowej żołnierskiej przy stacji w Lublinie, z której też jedliśmy. W Lublinie zabawiliśmy do wieczora, i do godz. 7 mogliśmy być na mieście. Cześć Lublinowi, który najgoręcej do sztandaru Niepodległości i Legionów się przygarnął.

3 września, rok 1915, piątek

[5] Aleksander Jerzy Narbut-Łuczyński (1890-1977), przed I wojną komendant P.D.S. w Belgii, kapitan w Legionach, dowódca kompanii i batalionu 5 i 6 pułku piechoty. Po kryzysie przysięgowym internowany. W Polsce niepodległej generał brygady. Po II wojnie na emigracji.

Już się nie krępuję chodzić po mieście i na ogół wszędzie publicznie w mundurze legionisty. Że się tam niejeden czasem spojrzy ze zdziwieniem, widząc człowieka o postawie poważnej w stroju szeregowca, to mniejsza z tym. Niech się tam dziwią, niech się patrzą, a niech widzą, że nie tylko młodzież najmłodszą stać na udział w bohaterskich szeregach polskiego wojska, wojska wolności szlachetnej, wojska bez musu państwowego! Że są i ludzie starsi, stateczni, którzy idą pod znak święty, idą bez gwiazdek szarży – prości żołnierze. Bajeczne to wojsko – wojsko polskie Legionów, męczeństwa pełne i zwłaszcza tej woli swobodnej, która zjadaczy chleba w ludzi (po co w aniołów) przemienia. Każde inne wojsko – to tłuszcza żołnierska, to armia państwowa, dzieło skonstruowane przez władzę, przez organizację państwową. Trzyma ich w szeregach karność, ofiara krwi jest podatkiem nakazanym. Jest to maszyna, a choćby była ona tak świadoma zadań i celów wojny, jak armia niemiecka lub francuska, to i w takim razie większość członków tej armii – żołnierzy – jest tylko mechanicznym kołem maszyny. Nasze zaś wojsko – to elita ludzi, to armia osobliwa, spojona z wiary i woli, z ideałem tęsknoty i osobistej decyzji każdego jej żołnierza. Szlachetna armia ludzi wolnych! Honorem jest należeć do niej. Ten orzełek metalowy na czole naszym – to znak święty – Polski i znak nie mniej święty człowieka wolnego.
Przez całą noc jechaliśmy z Lublina do Chełma. Mieliśmy w pociągu cały wagon dla nas, wagon bagażowy. Pokładliśmy się na podłodze i wyspaliśmy się dobrze. Skład osobisty naszej gromadki trochę się zmienił. Ubył nam szeregowiec Bydliński, facetus-komik, śmieszący powiastkami i pantomimą; jechał on tak samo jak my do I Brygady, i w Lublinie zabrał się do gromadki porucznika Narbuta, jadącej tamże. Za to przybyli chorążowie Dąbrowski[6] i Tarapacki[7], należący do wydziału wywiadowczego pod komendą Szenka. Obecnie więc w gromadce Szenka ja jeden pozostałem obcy. W Rejowcu pociąg nasz stał przez cały ranek. Potem znów stał parokrotnie, aż wreszcie koło godz. 3 przyjechaliśmy do Chełma. Pod Chełmem i w Chełmie widzieliśmy znów wielkie gromady jeńców moskiewskich, których tu są olbrzymie „stada". Niektórych tylko przepędzają mimo, inni siedzą tutaj stale i są używani do robót polowych – młócenia. Zalokowano nas w wielkim spichrzu we dworze „Starostwa". Tuż pod Chełmem. Dokoła obozy koni wojskowych, mnóstwo żołnierzy niemieckich i austriackich. Nabielak zajął się „fasunkiem". Sprowadzono zarekwirowanej dla nas słomy na nocleg, sprowadzono konserwów mięsnych, chleba i sera, kartofli zebrano z pól i napieczono w ognisku. Sierżanci nasi Nabielak i Rusak, którzy są ciągle na bakier (Rusak zazdrości Nabielakowi), coś się dziś bardzo pokłócili. Ja odchodzę już od gromadki Szenka. Szenk dał mi kartkę do porucznika Biernackiego[8], który tu jest i prowadzi tędy kompanię świeżego rekruta do I Brygady. Podziękowałem Szenkowi. Jutro się już odłączam od gromadki.

4 września, rok 1915, sobota
Dziś opuściłem oddział Szenka. Porucznika Biernackiego, który prowadzi kompanię rekruta z Lubelskiego i Radomskiego do I Brygady i do którego Szenk dał mi kartkę z

---

[6] Być może Antoni Dąbrowski, legionista z oddziału telefonicznego 1 pp. I Brygady.
[7] Tarapacki – bliższych danych brak.
[8] Stefan Dąb-Biernacki (1890-1959), absolwent Szkoły Handlowej. Asystent w Wyższej Szkole Rolniczej w Dublanach. Od 1913 r. członek Drużyn Strzeleckich, gdzie ukończył szkolenie podchorążych. W 1914 r. dowódca kompanii, a od lipca 1916 r. dowódca baonu w I pp. Legionów. Internowany w Beniaminowie w czasie kryzysu przysięgowego. Od sierpnia 1918 r. obejmuje dowództwo okręgu ciechanowskiego POW. Od XI 1918 r. d-ca 32 pp., a od 28 II 1919 r. d-ca 5 pp. Legionów. Od 1 VII 1920 r. d-ca 1 dywizji piechoty Legionów. Ukończył kurs wyższych dców. 1 VII 1925 r. mianowany generałem brygady, a 1 I 1931 r. generałem dywizji. Inspektor Armii Wilno. Podczas Kampanii Wrześniowej d-ca rezerwowej Armii „Prusy" i Frontu Północnego.

prośbą, aby mnie zabrał razem, spotkałem wczoraj w Chełmie wieczorem na ulicy. Polecił mi udać się do wsi Serebryszcze, w której stoi jego kompania i zameldować się podporucznikowi Marze[9]. Serebryszcze jest odległe od Chełma o 5 wiorst, toteż wczoraj po ciemku, nie znając miejscowości, nie poszedłem; wolałem zanocować w Starostwie z oddziałem skautów Szenka i wybrać się dziś z rana. Nocleg mieliśmy dobry na posłaniu ze słomy, tylko w nocy mieliśmy małe zajście: wdarło się do naszej stodoły dwóch drabów – Niemców z Landszturmu; chcieli się tu kłaść czy dowiedzieć, kto tu nocuje, a może szukali swojej kwatery lub dziewek jakich; zaczęli hałasować i gdy się już cofali, widząc nas leżących, Nabielak poszedł za nimi, aby czegoś jeszcze nie ukradli; gdy odezwał się do nich po polsku, jeden z nich wrzasnął: „deutsch"; zaczął się hałas. Szenk i Dąbrowski zerwali się z miejsc i pędzili żołnierzy, z których jeden pijany, zaczął hałasować, nastawać na naszych, mitygowany przez towarzysza swego, który dostrzegł gwiazdki sierżanckie na narzuconym na bieliznę mundurze Nabielaka. Zrobił się krzyk, awantura. Dąbrowski łajał Niemca po rosyjsku, krzyczał o związaniu go. Niemiec chciał się rzucać i ledwo wreszcie towarzysz go wyprowadził. Rano koło godz. 6-7 wstałem, gdy jeszcze wszyscy spali i nie postrzeżony przez nikogo wyszedłem biorąc mój plecak na siebie i ruszyłem wprost na Serebryszcze. Wnet spotkałem kilka dziewcząt robotnic ze Starostwa, które już poznałem wczoraj, a które szły teraz rankiem z worami po gruszki do jakiejś wsi opuszczonej w sąsiedztwie. Ponieważ droga ich wypadła w tę samą stronę, co mnie, więc szliśmy kawał razem. Pokazały mi one wieś Serebryszcze, do której wkrótce doszedłem. Tam w jednej z chałup zastałem podporuczników jeszcze się ubierających. Byli to podporucznicy Mara, Janicki[10] i Pierwotny[11]. Nie pytali się wcale o nazwisko ani inne szczegóły osobiste. Powiedziałem, że porucznik Biernacki polecił mi skierować się do podporucznika Mary. Przyłączyli mnie do III plutonu, który jest najmniej liczny. Jest tu oprócz mnie jeszcze kilku takich przybłędów, którzy nie należą właściwie do tej kompani rekruckiej, jeno przyłączyli się do niej, aby się wraz z nią dostać do I Brygady. Są to przeważnie maruderzy czy też żołnierze zabłąkani, którzy się potracili w okolicach Puszczy Białowieskiej w czasie wymarszu z niej Brygady i następnie przywędrowali tu w poszukiwaniu swoich oddziałów. Zalokowałem się w stodole na grochowinach w tej samej zagrodzie włościańskiej, w której lokują się podporucznicy Janicki i Pierwotny. W zagrodzie tej lokują się jeszcze: artylerzysta Dąbrowiecki[12] ze Lwowa, zabłąkany z I Brygady, młody chłopiec 19-letni, wysoki i szczupły, od roku będący na wojnie, znękany żołnierką, tęskniący do pokoju, cichy, ale pełny buntu w stosunku do oficerów i wszelkiej władzy; dwóch kawalerzystów rozhukanych, pretensjonalnych typów zawadiackich i samolubnych, traktujących wojnę za sport, za jakieś tło do obrazu miłostek i uciech włóczęgi; zdaje się, że to nie są rzetelni wiarusi, jeno raczej z gatunku błąkających się i chętnie się na maruderkę „dekujących" ; dalej jest tu młody 19-letni, bardzo sympatyczny i przystojny, rekrut spod Zamościa Jan Kołodziejczyk[13], który pełni czasowo przy podporucznikach funkcję ordynansa; jest to chłopiec żywy, inteligentny, wesoły, kochający się w wierszach i piosenkach; jest czysty i ideowy, niezwykle sympatyczny; szlachetny typ młodzieży; z zawodu jest nauczycielem literatury; skończył seminarium nauczycielskie. Jest wreszcie Żydek, niejaki Szpryngier[14] z Lublina, śmieszny, głupkowaty; mówi do mnie „obywatelu Zymskiego"

---

[9] Józef Mara - Mayer, podporucznik 1 pp. Legionów.
[10] Józef Janicki-Moch (1896-1916), członek Zw. Strzeleckiego, podporucznik 5 pp. I Brygady.
[11] Piotr Wojciechowski-Pierwotny, legionista 6 pp. (prowiantura) III Brygady.
[12] Prawdopodobnie Eustachy Dąbrowiecki, ppor. I Brygady.
[13] Prawdopodobnie Jan Kołodziejczyk, artylerzysta z V batalionu I Brygady.
[14] Szprynger – bliższych danych brak.

i przekręca mowę polską okropnie. Skąd mu przyszło wstąpić do Legionów polskich, tego sam wytłumaczyć nie umie.

5 września, rok 1915, niedziela
Przestaliśmy dziś jeszcze przez cały dzień w Serebryszczu. Wczoraj wieczorem od podporuczników rozeszła się pogłoska, że Brygada ma przyjść do Chełma, aby stąd wyruszyć na dłuższy, może kilkumiesięczny odpoczynek do Przemyśla. Mielibyśmy więc czekać na nią, by z nią razem do Przemyśla jechać. Tymczasem dziś przyszły inne wieści: mamy ruszać, by gdzieś na wschodzie na Wołyniu Brygadę dopędzić. Parokrotnie dziś w ciągu dnia mówiono, że już dziś lada chwila wyruszymy. Tymczasem nie doszło do tego; była zarządzona przed południem zbiórka, ale od podporucznika rozkazów wymarszu nie było i takeśmy zostali na miejscu. Cały dzień zszedł mi bądź na wałęsaniu się, pisaniu trochę dziennika, gawędce z artylerzystą Dąbrowieckim i Kołodziejczykiem. Z Dąbrowieckim chodziłem po obiedzie do sąsiedniego dworu Serebryszcza na śliwki. Są tam pełne drzewa ślicznych węgierek; żołnierze plądrują po ogrodzie, łażą po drzewach, trzęsą, jedzą śliwki i zbierają je, by ugotować na kolację zupę śliwkową. Trochę mnie raziły te plądrowania, które już nie tylko tu obserwowałem, ale w życiu żołnierskim inaczej być nie może: takie rzeczy, jak kartofle, owoce, groch, bób itd. – to są na wojnie dla żołnierzy otworem. Fasunek nasz jest dość monotonny, choć znośny. Dostajemy kawę konserwową (lekko słodzoną, czarną) na śniadanie i kolację po tabliczce albo po paczce w proszku; na obiad mamy po blaszance konserwów mięsnych (gulasz albo siekane wołowe), które odgrzane smakują znośnie, szczególnie z kartoflami, o które się już sami wystarać musimy (nakopanie i oskrobanie kartofli na naszej kwaterze należy do funkcji Żydka Szpryngiera), dostajemy też chleb (po pół bochenka) albo suchary pszenne. Poza tym, ponieważ jutro ruszamy na wymarsz zafasowaliśmy dziś po paczce cukierków; wreszcie dostajemy papierosy, względnie niezłe, tylko mało: wczoraj po 4 sztuki, dziś po 8 sztuk (ale może to już na jutro); jutro w marszu mamy też dostać wina czerwonego. Z tytoniem i papierosami skąpo. Mam trochę papierosów z Lublina jeszcze, ale się prędko skończą; chciałem kupić w Chełmie tytoniu do fajki, którą mi Nabielak darował i z której paleniem jest mniej kłopotu niż z papierosami; poszedłem wczoraj po tytoń do Chełmu, ale nie dostałem w całym mieście, jeno znalazłem 87 sztuk papierosów do kupienia, jedynych, jakie się znalazły; w Chełmie byłem z Żydkiem Szpryngierem; śmieszny to chłopiec; głupkowaty, nieokrzesany, typowy Żydziak, ale swój spryt ma; kiepsko nawet mówi po polsku, ale Moskala bić chce; dumny jest, że należy do wojska polskiego, jest „obywatelem" jak inni; żartują i śmieją się z niego, ale go dość lubią i w żadnym razie nie krzywdzą. Jest tu kilku Żydków w tej kompanii. Śliczny jest typ duchowy młodego legionisty Kołodziejczyka, który czasowo został wzięty przez oficerów na ordynansa, bo jest sprytny i miły, ale który nie na ordynansa jest stworzony; jest to chłopiec czysty, żywy, pełny szlachetnego czucia i ognia, a zarazem główka dobra.
Straszne tu zniszczenia w tych stronach: nigdzie krowy ani ptactwa; kura i świnka to rzadkość; słoniny, mleka – nie ma. Wsie popalone, wszystko wskroś spustoszone. Tysiące ludności, szczególnie unitów, pouciekało lub wypędzono na wschód przez Moskali. Wieś, w której stoimy była ruska; ludność cała uciekła, a na jej miejsce osiadła w wiosce ludność polska.

6 września, rok 1915, poniedziałek
Dziś rano wreszcie wymaszerowaliśmy spod Chełma doganiając I Brygadę. Nikt z nas nie wiedział dokładnie, dokąd maszerować będziemy i jakie ma wiadomości porucznik Biernacki (Dąb), który nas prowadzi. Jak zawsze – żołnierzom się nie mówi, dokąd i jak

się ma maszerować; dla nich, a więc teraz dla nas, jest tylko rozkaz. O godz. 5 ½ obudzono nas; prędkośmy się ubrali, śpiesznie zgotowali kawę, wypili ją względnie zabrali ze sobą do manierek; po godz. 6, koło 6 ½, podporucznicy zaczęli zwoływać na zbiórkę; plutony uszeregowały się. W plutonie drugim, złożonym z rekruta lubelskiego, okazało się, że dzisiejszej nocy jeden z młodocianych żołnierzy zmarł na kwaterze na cholerę. Objadł się wczoraj surowizny – ogórków, śliwek, wody surowej i natychmiast cholera go chwyciła, a już w nocy zmarł. Nie wstrzymało to naszego wymarszu, przeciwnie – przyśpieszyło raczej; oficerowie nasi obawiali się, aby władze, dowiedziawszy się o wypadku, nie nałożyły na kompanię naszą kwarantanny. Zmarłego szeregowca nie znałem nawet z widzenia; zresztą w zawodzie żołnierskim i na wojnie śmierć szeregowca nie sprawia osobliwego wrażenia; człowiek dziś jest, a jutro jego nie ma; cholera, której się ludzie tak boją, której samo imię budzi pewnego rodzaju zabobonny strach, tu także nie robi swego zwykłego efektu; jest pewna szczególna nonszalancja, pewien nastrój bagatelizowania wszystkiego, co w innych warunkach uchodzi za groźne; tu po prostu się nie zważa na śmierć jednego z kompanii, choć mało znanego nam, ale bądź co bądź towarzysza, nie więcej sprawiła efektu, niż gdyby ktoś się potknął i upadł; jeno porucznik odczytał nam przed frontem przepisy o wystrzeganiu się cholery (zakaz jedzenia surowizny i picia wody surowej, mycie rąk po każdym jedzeniu i staranne mycie naczyń, wykopywanie latryn, czyli dołów ustępowych na każdym postoju itd.) i poza tym zarządził odseparowanie od kompanii tych szeregowców II plutonu, którzy kwaterowali razem ze zmarłym. Garstka tych „choleryków”, jak ich u nas nazwano, nie szczędząc im kpin, szła za nami daleko w tyle i na popasach nie mogła się z nami łączyć. Zmarłego zaś zostawiono tak jak zmarł, w stodole. Pogrzeb mu już sami włościanie z Serebryszcza sprawią bez nas.
Maszerowaliśmy od godz. 7 rano do południa mniej więcej. Szliśmy wolno i co godzinę regularnie mieliśmy krótki wypoczynek po minut 5-10. Szliśmy plantem kolejowym w kierunku Kowla. Kraj wszędzie tu zniszczony radykalnie; wsie w większości popalone, opuszczone; na wielu polach zboże nie zebrane wcale, zgniło w pokosach albo w snopkach. W południe doszliśmy do Dorohuska nad Bugiem, gdzieśmy stanęli na obiad. Grono nas z pierwszych szeregów III plutonu stanęło w jednej chacie naprzeciwko plebanii. Dorohusk prawie cały spalony. Kościół podziurawiony pociskami działowymi. Większość ludności, proboszcz i cała obsługa kościelna – uciekli na wschód. Bieda jest straszna u tych, co pozostali (z pewnością jeszcze większa u tych, co uciekli). Nie ma mleka, kur, ani kawałka słoniny na okrasę. Ludzie mają post przymusowy. W chacie, w którejśmy stali, meble zastaliśmy eleganckie, fotografie, etażerki, półki z wyszukanymi książkami i drobiazgami salonowymi, oczywiście są to czyjeś rzeczy złożone tu na przechowanie. Zresztą teraz we wsiach pełno mebli cudzych. Tak samo było też w Serebryszczu, w którym mieszkańcy, zainstalowani tam obecnie, a pochodzący przeważnie z Sawina, mają dużo przeróżnych mebli, pozbieranych z rozmaitych opuszczonych miejsc. Most kolejowy na Bugu pod Dorohuskiem wysadzony w powietrze, ale już się nowy buduje. My przeszliśmy przez most pontonowy i poszliśmy dalej w kierunku Lubomli. Aleśmy do niej nie doszli, jeno do wsi Rymacze o 10 wiorst przed Lubomlą. Wieś zamieszkała przez Rusinów. Tu zanocowaliśmy.

7 września, rok 1915, wtorek
Słówko jeszcze o noclegu naszym. Rymacze, wieś wołyńska, obszerna, ładnie zabudowana, rozrzucona wśród licznych drzew, mało uszkodzona. Bitwy tu w okolicy nie było. Między Bugiem a Rymaczami spotyka się liczne, nieraz potężne okopy, gęste zagrody z drutu kolczastego, rowy strzeleckie kryte i otwarte, pozycje dla baterii itd. Ale Rosjanie, na skutek ruchu ofensywnego Niemców i Austriaków, a zwłaszcza

kawalerii na Kowel do Włodzimierza Wołyńskiego i Włodawy, musieli opuścić te pozycje bez walki. W Rymaczach znaczna część ludności pozostała na miejscu. Są tu i katolicy, i prawosławni, ale wszyscy są Rusinami, bo po rusku mówią. Chata, w której nocowaliśmy, była katolicka. Pacierz mówią po polsku, rozmawiają po rusku. Chata wewnątrz urządzona na wzór ukraiński, stroje kobiece mają styl ukraiński w ozdobach i wyszyciach. I tu, jak wszędzie, nie ma krów ani kur, ani świń; nie ma kawałka słoniny. Straszne jest spustoszenie kraju tak na Wołyniu, jak na Chełmszczyźnie. Kozacy wyganiali ludność, palili wsie i miasteczka, zniszczyli plony i dobytek, a czego nie zniszczyli Kozacy, to później zabrali Niemcy lub Madziary. Podobno niejeden z chłopów ma krowę lub konia, ale to gdzieś się ukrywa po lasach i głuchych wąwozach; znajdzie się gdzieś i słonina u niejednego, ale też ukryta głęboko w obawie przed rekwizycjami i zaborem przez żołnierzy. Konia tutaj też mieć niepodobna, bo każdego zabierają do taborów przeciągających tędy niezliczonych oddziałów wojskowych. Oddziały te urządzają tu po prostu polowania na konie i furmanki, łapiąc je do taborów swoich. W Rymaczach kwaterowałem w jednej chałupie z artylerzystą Dąbrowieckim[15], kawalerzystami Sztrausem[16] i Malarczykiem[17], starym żołnierzem piłsudczykiem, którego nazwiska nie znam, i rekrutem lubelskim Kałużyńskim[18].

Rano dziś miał być o godz. 6 wymarsz dalej na Lubomlę i Kowel, gdzieśmy się spodziewali zdybać I Brygadę. Spaliśmy pokotem na słomie w izbie. O godz. 4 rano sierżanci pobudzili wszystkich; zaczęto wołać o pośpiech; rozeszła się pogłoska, że mamy iść na stację kolejową, skąd pojedziemy pociągiem. Ledwieśmy ugotowali kawę, a tu już gwizdkami zaczęto zwoływać zbiórkę. Obwołano już nie tylko zbiórkę, ale alarm. Okazało się, że są wieści, iż w pobliżu w lasach ukazali się kozacy. Toteż wnet wyruszyliśmy, jeno nie naprzód, lecz wstecz. Już przez wieś ciągnęli landszturmiści austriaccy, pasący w okolicy bydło wojskowe. Na wieść o kozakach pociągnęli oni z bydłem ze wszech stron ku Bugowi i za Bug. Skąd się tu wzięli kozacy na tyłach frontu austriackiego, w jakiej są sile liczebnej – nikt dokładnie nie wiedział. Jest to zapewne garstka, która się gdzieś przez linię przedarła; choć nic wielkiego nie zrobi, ale może, kryjąc się po lasach, niepokoić tyły, napadać na tabory, na lokalną ochronę landszturmu itd. Ponieważ w naszym oddziale większość nie ma wcale karabinów, a zresztą gdyby nawet miała, to nie umiałaby się z nimi obchodzić, więc bardzo słuszne było i naturalne, że starszyzna nasza zarządziła odwrót. Pluton I, złożony z rekrutów Radomiaków i uzbrojony w karabiny, został wyznaczony do osłony naszego trenu[19], my zaś, to znaczy pluton II (sami rekruci z Lubelskiego) i pluton III (tacyż rekruci i garstka przybłędów, którzy się przyłączyli po drodze do kompanii) ruszyliśmy nazad drogą wczorajszą, a za nami sunął w pewnej odległości nasz ogon „choleryków". Uzbrojenia nie mieliśmy. Gdyby kozacy na nas napadli, nie mielibyśmy możności bronienia się. Kilku jeno miało karabiny, ale i to przeważnie bez amunicji; poza tym oficerowie i podoficerowie mieli szable – i po wszystkim. Szliśmy jednak ochoczo, niewiele się troszcząc o kozaków i żartując. Błąkały się domysły, że może Rosjanie zdołali przełamać front austriacki za Kowlem, ale to się wydawało mało prawdopodobne. Raczej była to garstka kozaków, awanturząca się na tyłach i odcięta, skazana na zagładę. Starzy żołnierze, którzy idą z nami, przypominali podobne wypadki ze starych dziejów tej wojny. Nie wiedzieliśmy, dokąd maszerujemy. Im bardziej zbliżaliśmy się do Bugu, tym więcej spotykaliśmy

[15] Być może Eustachy Dąbrowiecki.
[16] Sztraus – bliższych danych brak.
[17] O takim nazwisku są znani dwaj legioniści z 4 pp. III Brygady: Stefan Malarczyk i Antoni Malarczyk.
[18] Znani są legioniści I Brygady o tym nazwisku: Tadeusz Kałużyński z 1 pp. oraz Bolesław Kałużyński z 5 pp.
[19] Tren (fr. *train*), dawniej pociąg, tabor wojskowy.

cofających się landszturmistów austriackich. Ich garstki, ustawione plutonami, okopywały się na zapas, aby strzelać do kozaków w razie ich ukazania się. Cofnięto żołnierzy kompani kolejowej, naprawiającej tor za Bugiem, przerwano też pracę nad budową nowego mostu kolejowego na Bugu i robotników wraz z całą instalacją odwieziono do Chełma.

8 września, rok 1915, środa
Dokończę o naszym „cofaniu się" wczorajszym wobec widma kozaków. Przeszliśmy przez Bug z powrotem. Przypuszczaliśmy, że się oprzemy w Dorohusku i tu przeczekamy, aż się tam co do kozaków wyklaruje. Poprowadzono nas jednak w Dorohusku na stację kolejową i wsadzono do pociągu na puste platformy. Był to pociąg kompanii kolejowej, pracującej nad budową mostu na Bugu, którą teraz cofano w kierunku na Chełm. Widać i czuć było pewien niepokój i przygotowania na ewentualność ukazania się kozaków. Nie wiedziano właściwie dokładnie, co jest: czy linia przerwana, czy tylko garstka kozaków się przedarła, czy może tylko jakiś zabłąkany patrol kozacki sprawił cały niepokój. Nie wykluczano wszakże możliwości odwrotu armii, choć to mnie się mało prawdopodobne wydawało. Popłoch szerzyli głównie landszturmiści austriaccy, którzy się pojedynczo, garstkami i z bydłem oraz taborami cofali. Tymczasem ustawiono posterunki, sztafety i łączniki, zakładano telefony, organizowano czynność wywiadowczą; wkrótce pociągnął w kierunku Bugu oddział karabinów maszynowych. Tymczasem myśmy odjechali pociągiem do najbliższej stacji sąsiedniej, Brzeźni czy Brzeźnicy, gdzieśmy stanęli. Postój był tu długi. Zagrzeliśmy tu przy ognisku konserwy i obiadowaliśmy. Tymczasem nadciągnął nasz tren. I pluton odwołano od eskorty trenu i wyznaczono do dalszej eskorty część plutonu III, w tej liczbie i mnie także. Miano nam dać karabiny od I plutonu, któremu kazano siadać do pociągu. Dla pokrzepienia ludzi wydano nam wina czerwonego. Wino w pochodzie – to złoto, byle nie za dużo. W toku tego wszakże przyszły wieści uspakajające zza Buga: żadnego przełamania frontu nie ma, jeno zabłąkana garstka kozaków. Pociąg ze służbą i materiałami do budowy mostu zawrócił do Dorohuska; całą kompanię naszą wysadzono; dalej już trzeba było iść pieszo; eskorta do trenu była już zbyteczna, bo niebezpieczeństwo minęło. Sądziliśmy, że poprowadzą nas do Chełmu, a były nawet pogłoski, że stamtąd odeślą do Lublina. Aliści zaprowadzono nas nazad do wioski Serebryszcza, z której wigilią wymaszerowaliśmy, i rozkwaterowano w drugiej połowie wsi, aby być trochę dalej od cholery. Ja otrzymałem kwaterę z sierżantem Litwinowiczem[20], kawalerzystą Domejką[21], szeregowcami Borowiczem[22] i Widuchem[23], artylerzystą Dąbrowieckim i rekrutem Kałużyńskim. Dostaliśmy u jednej kobieciny, która ma krówkę (zwolnioną od rekwizycji ze względu na małe dzieci), mleka do kakao, co jest wielkim przysmakiem w życiu żołnierskim na tym pustkowiu. Kwaterujemy w chacie Rusina samotnego; żona jego i dzieci przejechały w czasie ucieczki Rosjan za Bug i tam się zgubiły – oczywiście popędzono je do Rosji, on zaś został w lasach i teraz zalokowali go Niemcy w Serebryszczu na opuszczonej siedzibie na warunkach zebrania plonu z trzech ziaren dla władz niemieckich i czwartego ziarna dla siebie. Naturalnie, że nie ma żadnego inwentarza ani konia i zboże musi na plecach

---

[20] Aleksander Litwinowicz (1879-1948), inżynier, generał brygady, członek Związku Strzeleckiego we Lwowie, porucznik w 1 kompanii kadrowej, intendent w 1pp i 1 Brygady Legionów, po kryzysie przysięgowym prowadził prace wywiadowcze z ramienia POW, uczestnik obrony Lwowa, szef intendentury dowództwa „Wschód". W Polsce niepodległej pełnił szereg odpowiedzialnych funkcji w Ministerstwie Spraw Wojskowych, m. in. II wiceminister spraw wojskowych i szef administracji armii.
[21] Domejko – bliższych danych brak.
[22] Borowicz – bliższych danych brak.
[23] Widuch – bliższych danych brak.

znosić do stodoły. Rusin nasz jest bardzo uczynny i uprzejmy; to się dostrzega, że wszyscy Rusini zachowują się z wielką pokorą i gwałtownie siebie od rdzennych Moskali odseparowują; zwykle nawet boją się przyznawać, że są prawosławni; są oczywiście bardzo nastraszeni i lękają się, żeby się nie mszczono na nich za winy Moskali. Wszakże ta pokora nie wydaje mi się bardzo szczera. Dziś cały dzień w Serebryszczu przesiedzieliśmy. Ile czasu tu zabawimy – nie wiadomo. Być może, że długo. Brygadier Piłsudski był dziś w Chełmie w drodze powrotnej do Brygady[24]. Chciałem się z nim widzieć, gdyby to można było, ale to zrobić nie dało się. Chodziłem pod wieczór do Chełma po sprawunki; kupiłem papierosów, czekolady, świec, herbaty, parę cytryn, flaszkę spirytusu – wszystko szalenie drogie. Znów się cholera w naszych szeregach ukazała.

9 września, rok 1915, czwartek
Rano o godz. ± 5 wpadł do naszej kwatery sierżant Jurek[25] z oznajmieniem, że grono starszych żołnierzy (nie-rekrutów), którzy się byli dołączyli do kompanii porucznika Dęba-Biernackiego, ma zaraz wstawać i ruszać do Chełma, gdzie stoją treny I Brygady, aby z nimi natychmiast wprost do Brygady maszerować. Wyznaczeni do tego wymarszu byli wynotowani imiennie. Z naszej kwatery szli: sierżant Litwinowicz, Domejko, Borowicz i Widuch. Mnie na tej liście nie było. Nie chciałem jednak zostawać, bo któż wie, ile czasu kompania w tym Serebryszczu zabawi. Można tu tymczasem na cholerę zachorzeć i wcale do Brygady nie pojechać. Ubrałem się więc też czym prędzej, wziąłem plecak i poszedłem do kwatery oficerów poprosić o pozwolenie wyjścia. Podporucznik Janicki pozwolił chętnie. Tu tymczasem cholera się szerzy. Wczoraj zachorował sierżant Pieracki[26], wysoki, młody, ten sam, który przed paru dniami w naszej wycieczce za Bug szedł na czele III plutonu, bezpośrednio przede mną. Jest to człowiek poważny, wykształcony. To nie jakiś błazen z gromady młodocianych prostych rekrutów, który się obje wszelkiej surowizny. Toteż skoro już tacy zachorowują, to jest cholera na serio. Dziś rano mówiono już o kilku nowych chorych na cholerę. Podobno mają szczepić dziś cholerę już w Serebryszczu wszystkim w kompanii. Kto wie, ile to czasu potrwa i kiedy ta kompania stąd wyruszy. Toteż rad jestem, że z niej wyszedłem. Wyszliśmy w jakichś 10 ludzi z sierżantem Jurkiem na czele do Chełma. Tam zaszliśmy do kwatery oficerów i sierżantów taborowych. Tabor prowadzi porucznik Wilk[27], pod którego komendę stajemy. Wydano nam na poczekaniu smacznego wina białego. Wśród obecnych na kwaterze ujrzałem szeregowca Bydlińskiego, który jechał z partią Szenka z Piotrkowa razem ze mną i który się później w Lublinie odłączył od nas. Był to ten sam facetny kawalarz, który nas zabawiał świetną mimiczną imitacją andrusów i rozmaitych charakterystycznych typów. Gdym go teraz ujrzał, był on bez munduru, bo się właśnie mył. Jakież było moje zdziwienie, gdy nałożył mundur i na mundurze ujrzałem naszywki zygzakowe oficera I Brygady z gwiazdką podporucznika. Bydliński okazał się podporucznikiem Hołacińskim. Przez całą drogę z Szenkiem nie zdradzał się przed nikim, że jest oficerem. Sam Szenk nie wiedział o tym. Zachowywał się też klasycznie w roli szeregowca. Jest on tylko w

---

[24] Piłsudski wracał wówczas do I Brygady po przebytym leczeniu w Otwocku. 11 września przybył do Kowla.
[25] Jurek – bliższych danych brak.
[26] Bronisław Pieracki (1895-1934), członek Związku Walki Czynnej, kapitan Legionów, dowódca kompanii w 4 pp. Po kryzysie przysięgowym w POW. Zamordowany przez ukraińskiego nacjonalistę, awansowany pośmiertnie do stopnia gen. brygady.
[27] Przypuszczalnie Wilhelm Wyrwiński, pseud. Wilk (1882-1918), malarz, rysownik, członek ZWC, ZS; por. I Brygady Legionów, obrońca Lwowa, dca pociągu pancernego „Piłsudczyk”, zamordowany pod Lwowem.

Brygadzie mianowanym przez Piłsudskiego, formalnie zaś wobec armii austriackiej i nawet Komendy Legionów nie ma żadnej szarży. W Brygadzie Piłsudskiego organizacja wewnętrzna jest zupełnie samodzielna, formacje pułków i szarże są własne, nie odpowiadające ściśle formacjom i szarżom urzędowym. Hołaciński jest takim właśnie tylko Piłsudskiego oficerem, oficerem polskim. Z Chełma aż do popołudnia nie mogliśmy wyjść, bo się okazało, że w nocy z taboru uciekły trzy furmanki. Staliśmy długo u wylotu miasta, wreszcie przeprowadzono nas przez całe miasto na przeciwległy kraniec, gdzie stał tabor. Tabor liczny, liczący około 30-40 fur. O godz. 3 wreszcie tabor uszykowany przez porucznika Wilka, wyruszył. Oprócz nas, którzyśmy przyszli z Serebryszcza i oprócz regularnych taborytów; jest tu jeszcze oddział rekrutów lubelskich. Wydano nam wszystkim karabiny i ładunki, podzielono na trzy oddziały i każdemu oddziałowi dano część taboru do osłony. Ja jestem w I oddziale pod sierżantem Jurkiem; idę przy pierwszej furze. Błotnistą drogą ruszyliśmy na jakieś bocznice wzdłuż toru kolejowego. Ciągle się coś w którejś furze psuło. Zmrok zapadł i nas w drodze złapał. W niektórych miejscach musieliśmy osobiście cały tabor fur przeprowadzać, aby się nie poprzewracały. Na nocleg stanęliśmy w jakimś opuszczonym zaścianku nie dojeżdżając do Brześcia. Z gazet, które wczoraj w Chełmie kupiłem,dowiedziałem się o zdobyciu Grodna. Pogłoski o wypowiedzeniu wojny przez Rumunię Austrii i o zdobyciu Równego i Dubna z gazet się nie potwierdziły.

10 września, rok 1915m piątek
Noc na postoju miałem niezbyt wygodną, bo należałem do liczby wyznaczonych do warty. Na samej warcie stać nie potrzebowałem, jeno musiałem czuwać od godz. 2 w nocy, bo na mnie leżał obowiązek zmieniania warty. Podzieliliśmy się tym obowiązkiem z Domejką: on czuwał do godz. drugiej, ja – od drugiej. Rano o godz. 6 zbudzono wszystkich, o godz. 6 ½ wydano śniadanie (kawę) i o godz. 7 wymaszerowano. Porucznik Wilk, jak wczoraj, chciał prowadzić tabor bliższymi i prostszymi drogami, nie zbadawszy poprzednio takowych, niemal na oślep – polską gospodarką, jak się to mówi. Gdyby to miano prowadzić ofensywę, kierując tabory do armii jak Wilk, to pięknie by wyszło! Wlekliśmy się wzdłuż toru kolejowego psimi dróżkami, po błotach, aż koło stacji kolejowej Brzeźni konie z bryczki porucznika, jadącej na czele, ugrzęzły tak, że jeden omal nogi nie złamał. Dopiero zawróciliśmy i wyjechaliśmy na wieś Brzeźnię na drogę właściwą. Wieś ta całkiem spalona do tła – wyrastają jeno z podmurowania osmalone kominy; cały las tych kominów posępnie znaczy miejsca byłej do niedawna osady ludzkiej. Oczywiście, że taka wieś jest bezludna zupełnie; tylko gdzieniegdzie ostały się psy wierne, które ze zgliszcz i ruin oszczekują jak widma przeciągającą karawanę żołnierską. Idziemy dalej. Gdzieś za lasem stajemy na postój obiadowy. Po obiedzie ruszamy dalej na Dorohusk. Po drodze mijamy jedną wieś całą nietkniętą, zaludnioną gęsto, jak raz przedziwną w tym świecie zniszczenia napiętnowanym wandalizmem wojny. Ludziska się nam przyglądają; dzieci uwijają się dokoła, gosposie i dziewczęta stoją u płotów i na przyzbach. Z dala na łące widzimy w kilku miejscach małe gromadki krów. Na tak wielką wieś to niedużo, ale w tym kraju nieszczęsnym widok pasących się krów – to osobliwość, to coś jak szczęście, pogoda i wesele. Tuż za tą wsią dwór spalony; piękne zabudowania, ale same nagie szkielety murów i słupów. Dwór spalony akuratnie, pusty kompletnie. Mijamy Dorohusk, przechodzimy za Bug na Wołyń. O kilka wiorst stamtąd wchodzimy na nocleg w dużą pustą wieś Berezcy, położoną na szczerych piaskach. Wieś przecięta okopami rosyjskimi. W środku wsi duży plac – wydma piaszczysta. Wozy ustawiają się w trzy szeregi, konie odprężone stawiają się w stodołach, ludzie rozchodzą się, wybierając w pustych chatach kwatery. My, Litwinowicz, Domejko, Borowicz, ja,

Jurek, Malarczyk, Lublinianie Bursztyn[28] i Dziewiszek[29] i jeszcze paru, lokujemy się w jednej chacie pustej bez okien. Nanosimy sobie gęsto snopów niemłóconej pszenicy z opuszczonego gumna w pobliżu i śpimy. Wieś ta nie spalona, ale pusta; ludność – Rusini – uciekła, prócz trzech starych rodzin. W ogóle Rusini przeważnie pouciekali, Polacy przeważnie, o ile zdołali, pozostali. Jest to przeciętne prawidło. Wszakże gdzieniegdzie pozostali i Rusini. Często się spotyka na drodze wracających ludzi z rodzinami i resztkami dobytku. Wracają ci, którzy zdołali się ukryć i przedrzeć przez front, co przy ofensywie trwającej jest łatwe.

11 września, rok 1915, piątek
O godz. 7 rano wyszliśmy z Berezców. Marsze odbywamy teraz dość forsowne jak na tak liczny i ciężki tabor. Drogą idziemy już teraz wielką, gościńcem; ale droga jest na ogół ciężka, są wielkie piaski. Przeszliśmy dziś około 30 wiorst, mniej więcej 15 do obiadu i tyleż po obiedzie. Marsz trwał 11 godzin, w tej liczbie 1 ½ godziny przerwy na obiad. Poza tym, postojów nie było, chyba krótkie chwilowe zatrzymania, gdy się dalsze wozy nieco opóźniały lub gdy się coś w którym zepsuło. Zresztą wozy szły dobrze i żadnych większych wypadków nie było. Ja idę całą drogę pieszo, dźwigając karabin. Do wozów nie wsiadam wcale, tylko plecak mój składam na wóz. Na ogół spalonych wsi na Wołyniu tu mniej, niż w Lubelskiem i Chełmszczyźnie. Wsie są przeważnie całe, szczególnie ruskie, ale często są wyludnione ze swych właściwych mieszkańców, a zaludnione natomiast przez mieszkańców z innych sąsiednich zniszczonych wsi. Przed południem przeszliśmy przez długie, szeroko rozrzucone miasteczko Luboml. Nie wolno było tam zachodzić do domów ani pić wody lub jeść owoce, bo w Lubomli wielka cholera – umiera dziennie do 40 osób. Zresztą wody surowej pić ani jeść owoców w ogóle nie pozwolono ze względu na cholerę. Na postoje obiadowe stajemy zawsze w polu, na noclegi – w opuszczonych wsiach. W drodze spotkaliśmy dziś kompanię rekrutów porucznika Dąba, która wyszła z Serebryszcza nazajutrz po naszym wymarszu z Chełma. Maszerujemy z nimi równolegle, często się wzajemnie wymijamy, postoje mamy wszakże zawsze osobne. Okazuje się, że nikt z nich po naszym odłączeniu się od nich nie umarł na cholerę, choć zachorowało kilku. Pieracki już zdrów, maszeruje; chorował również jeden z dwóch braci sierżantów Frenklów[30]. Wszystkim im przed wymarszem z Serebryszcze zaszczepiono cholerę. W tej kompanii porucznika Dąba wśród rekrutów Radomiaków spotkałem mego dobrego znajomego Kossowskiego[31]; pragnie się on dostać do kawalerii; zresztą z rekrutów to prawie wszyscy, którzy się cokolwiek ponad szary tłum wysuwają wykształceniem czy ogładą, marzą o kawalerii; nie jest to jednak łatwe do kawalerii się dostać, zwłaszcza teraz, bo jest wielki brak koni, a ten rodzaj oręża jest tylko pomocniczym – służącym specjalnej funkcji, podczas gdy piechota – to grunt i tam są ludzie najpotrzebniejsi. Najmniej sympatyczny typ w wojsku – to taboryci, których teraz miałem okazję poznać. Do taborytów idą próżniacy, chamowaci, gruboskórni; są oni tutaj bezpieczni, nie narażają się na niebezpieczeństwo, wyżerają się dobrze, kradną, łajdaczą. Życie włóczęgowskie w taborze, chwytanie na drogach furmanek włościańskich, rekwirowanie bydła itd. rozwija w nich instynkty łupieżcze; są to prawie bandyci, brutale, samoluby najpospolitszego, najmniej wyrafinowanego gatunku. Na noc zajechaliśmy dziś do wioski Rudy o 5 wiorst przed Maciejowem. Wioska wśród

[28] Bursztyn – bliższych danych brak.
[29] Dziewiszek – bliższych danych brak.
[30] Frenklowie – bliższych danych brak.
[31] Być może dotyczy to Władysława Kossowskiego, właściciela składu obuwia w Wilnie, gorącego patrioty, związanego z środowiskiem demokratycznym.

lasu, zajęliśmy na postój kilka stodół z brzegu, bezpańskich, choć pełnych pszenicy. Warta ze względu na niebezpieczeństwo kozaków była ustawiona liczna. W nocy jeden z wartowników rekrutów dał kilka strzałów do przejezdnego kawalerzysty węgierskiego, który nie stanął na rozkaz. Nic się jednak nie stało.

12 września rok 1915, niedziela
Dziś odbyliśmy dalszy kawał drogi do Kowla i na noc przyszliśmy do opuszczonego folwarku Stare Koszary. Przykre dla mnie w drodze dzisiejszej było rekwirowanie bydła do taboru naszego. Czynność ta jest z konieczności połączona z krzywdą ludzi miejscowych. Jest to wprawdzie niezbędna rzecz dla potrzeb wojska, ale rażąco przykra. Przede wszystkim, już rano, gdyśmy wychodzili z wioski Rudy z noclegu, przepędzali pastusi kilka sztuk krów przez drogę w lesie. Natychmiast krowy te zatrzymano i popędzono z taborem. Pod Maciejowem ujrzano całe stado bydła; natychmiast popędzono za nim i pognano za taborem; cały tłum ludzi z miasteczka śpieszył za zabranymi krowami, prosząc o uwolnienie bydła, skarżąc się, lamentując, odgrażając. Puszczono krowy należące do chrześcijan, a natomiast wszystkie żydowskie zabrano; chrześcijanie oskarżali Żydów, że ich krzywdzili, że milicja miasteczkowa złożona z Żydów, nie dopuszczała krów chrześcijańskich na pastwisko i że krowy żydowskie pochodzą z bydła, rekwirowanego przez Rosjan i były za bezcen przez Żydów odkupione od żołnierzy rosyjskich przy ich cofaniu się. Wobec tego władza taboru nie oszczędzała krów żydowskich. Rzeczywiście, krowy te były znaczone stemplem rekwizycyjnym rosyjskim. Tłum Żydów, Żydówek i Żydziąt gonił z lamentem za krowami, a chwilami próbował nawet zajmować postawę groźną wobec goniących żołnierzy i napadać z kijami. Żydów opłazowano, paru aresztowano, pobito, potargano. Może i miano rację, ale bądź co bądź obchodzono się z Żydami bezwzględnie, często brutalnie, dla mnie nowicjusza rażąco. Zwierzchność jednak traktowała ich przyzwoicie. Towarzyszący nam sierżant żandarmerii Tułacz i sam komendant taboru porucznik Wilk obeszli się sprawiedliwie i niektórym Żydówkom, mającym po jednej krowie na rodzinę, zwrócono je, innym wydano kwity, płatne w Komendzie Legionów w Kowlu, aresztowanych Żydów po admonicji uwolniono. Ceny rekwizycyjne za krowę względnie niskie, zwłaszcza w stosunku do braku bydła w tych stronach. Zapłata zresztą nie wynagradza krzywdy zaboru krowy, bo nowej krowy teraz nie dostanie do kupna, choćby za droższą cenę, a z pieniędzy mleka mieć nie będzie. Ale innej rady nie ma. Zresztą bydła w tych stronach jeszcze nieco jest i w ogóle zniszczenie tu względnie mniejsze niż w Chełmszczyźnie, szczególnie w stosunku do małej liczby pozostałej ludności. Zdaje się, że im dalej na wschód, w głąb Wołynia, tym więcej ludności uciekło, szczególnie z wiosek. Ciężkie też jest rekwirowanie furmanek do taborów. Urządzane są formalne polowania na furmanki i konie, a gdy się już raz jakąś chwyci, to nieprędko zostaje uwolniona. Naciąga się furman z końmi za dziesiątki, a nieraz setki wiorst; jest żywiony z koniem i opłacany, ale ziemia jest bez gospodarza i koni, a gdy wraca potem chłop do domu, to nieraz go z drogi do nowego taboru chwycą. Po wielkich drogach furmanek się prawie nie widzi; kto umie jechać, ten wybiera małe boczne dróżki, aby nie spotkać taborów. Nie chciałbym być taborytą: brzydkie zajęcie.

13 września, rok 1915, poniedziałek
W nocy w folwarku Stare Koszary miałem znów wartę, jak przed dwoma dniami, ale tym razem o wiele cięższą. Że kozacy kręcą się w okolicach Kowla w licznej gromadzie – to fakt. Powiadają, że przerwało się przez linię kilkanaście do 20 tysięcy i teraz grasują w tych stronach na prawym brzegu Bugu; wojska austriackie i nasze Legiony

staczają z nimi partyzantkę ciągłą. Chodziło więc poważnie o osłonę taboru; dla kozaków byłby to kąsek przyjemny, gdyby się o zapasach taboru naszego i o bydle wczoraj zarekwirowanym, którego się zebrało koło 120 sztuk, dowiedzieli. Dwukrotnie byłem stawiany w nocy na warcie, raz od godz. 7 ½ do 11 wieczorem i drugi raz od godz. 2 w nocy; ogółem przestałem na warcie koło 6 godzin; stałem na zewnątrz na folwarku pod wielką gruszą czy jabłonią polną, mając przed sobą rozległy szmat równiny ukraińskiej w kierunku, z którego ewentualnie spodziewani być mogli kozacy. Nic wszakże nie zaszło. W pobliżu mnie stał na warcie kawalerzysta Domejko, który miał placówkę ruchomą, toteż podchodził do mnie na pogawędkę; miły to chłopiec, żywy i serdeczny a szczery; służył w piechocie, teraz od kilku miesięcy w kawalerii; z domu poszedł do Legionów wbrew woli rodziców. Dość się z nim zaprzyjaźniłem w naszej wędrówce z taborem; razem z nim stawaliśmy na noclegach, razem braliśmy fasunek. Prócz niego, bliżej się zaprzyjaźniłem także z niejakim Borowiczem, Lwowianinem, który przesłużył rok w wojsku austriackim, a teraz przeszedł do Legionów. Jest to człowiek inteligentny, oczytany i światły, choć leniwy i trochę ciemięga; sympatyczny, dobry do rozmowy, moralnie dodatni. W ogóle stosunki tu zawiązują się dość łatwo i ludzie się zbliżają wzajemnie szczerze, dobierając się podług charakterów; jest pewna prostota i duch koleżeński w stosunkach; zwłaszcza ze starymi wiarusami (starymi nie wiekiem, lecz służbą na linii); z rekrutami stosunki się trudniej zawierają, a już o stosunkach z taborytami nie ma mowy, bo to jest element chamski; co do rekrutów, to większość ich, szczególnie ci co są trochę inteligentniejsi, mają ducha karierowiczowskiego; marzą wszyscy prawie o kawalerii, w ogóle myślą o sposobach wykręcenia się od prostej, twardej służby żołnierskiej. Dość serdeczne stosunki zawiązałem też z paczką kawalerzystów, którzy wędrowali razem (Malarczyk, Karol, Moskwa[32], Sztraus i paru innych). Trzymali się oni paczką osobną, ale do mnie stosowali się po koleżeńsku, z przyjazną uprzejmością. W ogóle typ kawalerzystów ma swoje cechy charakterystyczne: specjalna ogłada, dworskość, żyłka hulacka, pociąg do alkoholu i kobiet, elegancja stylowa. Domejko różni się od nich, znać na nim twardą przeszłość piechura. Stosunki zawierają mi się łatwo tylko z szeregowcami ewentualnie z sierżantami; z oficerami trudniej. Mimo woli różnica szarży między oficerem a szeregowcem się wyczuwa w stosunku; niepodobna tego uniknąć albo prawie niepodobna. Wykształceniem, stanowiskiem społecznym poza wojskowością, urodzeniem, wszystkim – jestem przecie zupełnie równy wszystkim tym oficerom, a wielu z nich przewyższam, a przecie w mundurze szeregowca jestem wobec nich zależny, do pewnego stopnia skrępowany. Ideą Piłsudskiego jest równość wszystkich rycerzy Legionów w godności obywatelskiej, traktowanie szarż li tylko za funkcje, nie zaś stopnie godności i pod tym względem w I Brygadzie stosunki się istotnie zbliżają do obcowania obywatelskiego, ale nawet tu doskonałości zupełnej być nie może. Ludzie są ludźmi, słabostki i ambicyjki nie dadzą się skasować, a psychologia ludzka nie może bezwzględnie oddzielić gradacji przed frontem od gradacji w obcowaniu pozafrontowym. Mimo woli oficer i rozkazodawca w szeregu pozostaje oficerem i pewnym autorytetem poza nim. Dziś przymaszerowaliśmy do Kowla i połączyliśmy się z I Brygadą. Napiszę o tym jutro.

14 września, rok 1915, wtorek
Wczoraj więc przymaszerowaliśmy do Kowla i połączyliśmy się z brygadą. Rekrutów lubelskich, którzy przymaszerowali z taborem, odprowadzono do brygady osobno gromadą całą, osobno zaś oddzielono i wydano kartki do stawienia się w brygadzie tym,

---

[32] Moskwa, legionista z 6 pp. III Brygady, czasowo w 2 plutonie 1 kompanii I batalionu 1 pp. I Brygady.

którzy się byli samodzielnie do taboru przyłączyli, to znaczy grupce kawalerzystów, starych żołnierzy i takim samotnym nowo zaciężnym, jak ja i Borowicz. Puszczono nas luzem z kartkami, abyśmy się sami zgłosili do brygady. Postanowiłem zgłosić się do sztabu brygady i prosić o zameldowanie mnie bezpośrednio Piłsudskiemu. Przed sztabem, który się mieści przy ul. Starofoksalnej, wskazano mi naczelnego lekarza brygady, kapitana dr Roupperta[33], który akurat stał na ulicy. Miałem właśnie do niego list polecający od Medarda Downarowicza, toteż wprost do niego podszedłem, przedstawiłem się salutując i podałem list. Dr Rouppert był dla mnie bardzo uprzejmy, obiecał skierować mnie do Piłsudskiego, który, jak powiadał, z pewnością sam zechce się ze mną zobaczyć, i oddał mnie w ręce porucznika sztabowego Sulistrowskiego[34], który się okazał moim powinowatym. Sulistrowski obiecał mnie zalokować i zająć się nakarmieniem mnie. Ku wieczorowi przyniosłem mój plecak i karabin do mieszkania Sulistrowskiego, którego w domu nie było. Jego ordynans, który wpierw przyjął mnie za oficera i zasalutował, później, dowiedziawszy się, że jestem prostym szeregowym, traktował mnie ozięble. Zalokowałem się u gospodarzy kwatery Sulistrowskiego Żydów, u których dostałem jaj i herbaty. Rychło Sulistrowski przysłał kogoś ze sztabu, prosząc mnie na kolację do sztabu. Gdym przyszedł, zobaczyłem z sąsiedniego pokoju stół zastawiony, przy którym siedzieli oficerowie ze sztabu, sama elita I Brygady. Nie widziałem, przy moim krótkim wzroku, że siedział wśród nich sam Piłsudski. Wszedłem i przywitałem się z Sulistrowskim, który wstał i postąpił naprzeciw mnie. Zachowałem się, zdaje się po cywilnemu; powinienem był u progu salutować całą tą wysoką elitę oficerską. Sulistrowski polecił mi przedstawić się Piłsudskiemu, co też zrobiłem, podszedłszy i z ukłonem wymieniwszy nazwisko moje. Piłsudski podał mi rękę i rzekł sucho: „Służę Wam po kolacji". Usiadłem do kolacji na miejscu, ustąpionym przez Sulistrowskiego. Przyglądałem się ciekawie tym ludziom, z których każdy ma swoją kartę w dziejach chwały Legionów Polskich. Orły, których lot przetopił tradycje bohaterstwa w wielką rzeczywistość czynu. Wielu z nich było dotąd nieznanych, aż nagle wypłynęli czynem potężnym na widownię historii narodowej. Wielu z nich jest młodych, nie mających jeszcze trzydziestki skończonej. Oto siedzi Piłsudski w środku, obok niego szef sztabu Sosnkowski[35]; oto obok mnie bajeczny Belina, rycerz tęgi i dzielny, pełny ognia i hartu, oto młodziutki Grzmot-Skotnicki[36],

---

[33] Stanisław Rouppert (1887-1945), lekarz chirurg, absolwent wydziału lekarskiego UJ. Od 1908 r. w Związku Walki Czynnej. Od 1914 r. lekarz naczelny I Brygady. W 1917 r. internowany w Beniaminowie. W niepodległej Polsce lekarz naczelny garnizonu warszawskiego. W 1926 r. mianowany szefem Departamentu Zdrowia Min. Spraw. Wojsk. W 1927 r. mianowany gen. brygady. Organizator IV Międzynarodowego Kongresu Medycyny i Farmacji Wojskowej. Po kampanii wrześniowej przedostał się do Francji, gdzie do czerwca 1940 r. przebywał w obozie oficerskim Cerizay. Po ewakuacji do W. Brytanii umieszczony w obozie Rothsay na wyspie Dute. W styczniu 1942 r. przeniesiony w stan nieczynny. Römer pisze błędnie jego nazwisko Ruppert.

[34] Zygmunt Sulistrowski, pseud. Iksforcillus, członek PDS w Krakowie, por. 1 p. ułanów I Brygady.

[35] Kazimierz Sosnkowski (1885-1969), wojskowy i polityk, od 1904 r. w PPS, od 1906 r. w Organizacji Bojowej PPS. Założyciel ZWC w 1908 r., potem szef sztabu i zastępca komendanta głównego Związków Strzeleckich. W l. 1914-1916 szef sztabu i zastępca komendanta I Brygady Legionów. W l. 1917-1918 więziony przez Niemców razem z J. Piłsudskim w Magdeburgu. W l. 1918-1919 dowódca okręgu warszawskiego, wiceminister spraw wojskowych w l. 1919-1920. W 1920 r. organizator i dowódca armii rezerwowej. W l. 1920-1925 minister spraw wojskowych, członek Rady Obrony Państwa, w l. 1927-1939 inspektor armii. W wojnie 1939 r. dowódca Frontu Południowego, w okresie 1939-1941 komendant ZWZ, następca prezydenta RP. W l. 1943-1944 Naczelny Wódz PSZ. Po wojnie na emigracji w Londynie i Kanadzie.

[36] Stanisław Grzmot-Skotnicki (1894-1939) wojskowy, od 1912 r. członek Związku Strzeleckiego w St. Gallen. Należał do pierwszego patrolu Beliny, który 2 VIII 1914 r. przekroczył granicę rosyjską. Dowódca szwadronu w I pułku ułanów Legionów Polskich. Internowany w Szczypiornie, następnie

oto wielu innych, których nie rozróżniam jeszcze. Zebrały się tu najdzielniejsze charaktery, najwyrazistsze indywidualności. Piłsudski milczący na ogół, często się zamyśla i twarz jego nabiera wyrazu surowego, to znów z którymś z towarzyszy swoich coś zażartuje, poda się cały naprzód, zaśmieje swoim pięknym uśmiechem. Ze mną przy kolacji ani dziś przy obiedzie nie zamienił słówka. Nie ma tu zdaje się metody bawienia gości, ale stosunek wzajemny jest prosty, serdeczny, bez cienia przymusu często cisza nastaje, rozmowy ogólnej prawie że nie ma; często się czoła pochylają w zamyśleniu, jak gdyby ci ludzie mieli wciąż przed sobą ciężar odpowiedzialności za krwawy czyn wolności, zdobywanej przez śmierć, czyn, któremu przewodzą i który sami stworzyli. Po kolacji i herbacie, podczas której dr Rouppert nalewał każdemu po kilka kropel jodyny na cukier – od cholery. Piłsudski szybkim ruchem wstał i wyszedł, a za nim wstali wszyscy. Nie wszyscy wyszli jednak. Grali na fortepianie, rozmawiali dalej. Wkrótce poszedłem do sąsiedniego domu do gabinetu Piłsudskiego na rozmowę z nim. Zastałem go pokazującego Sosnkowskiemu jakieś ruchy w grze w szachy. Sosnkowski był przez cały czas mojej rozmowy z Piłsudskim obecny. Po pewnych szczegółach prywatnej natury i po zreferowaniu w kilku słowach nastrojów w kraju, wyłuszczyłem Piłsudskiemu, o co mi chodzi i dla jakich względów zdecydowałem się wstąpić czynnie do Legionów. Piłsudski słuchał, rzadko dorzucając słówko uwagi i nie dyskutując ani potakując mi, choć, zdaje się, podobały mu się moje argumenty i decyzja. Wszak Legiony to jego dzieło. Wreszcie przyszło do określenia samego wniosku – do czego mianowicie mam stanąć. O tym jutro dokończę.

15 września, rok 1915, środa

Szedłem do Brygady z tym zamiarem, aby dostać się tylko nie do piechoty. Niektórzy namawiali mnie do kawalerii, sam zaś miałem na myśli raczej artylerię. Uprzedzono mnie wprawdzie, że w artylerii stosunki wewnętrzne są złe, że się wielce różnią ujemnie od obywatelskich stosunków w innych formacjach Brygady, że oficerowie, a zwłaszcza sierżanci są tam dla żołnierzy ciężcy, że stosowane są obficie bolesne kary fizyczne (wieszanie za rękę wychylaną w tył itd.), ale się tym nie zrażałem. Przykre to, ale ostatecznie dużo zależy od taktu samego żołnierza. Piechotę odradzali mi wszyscy jako najcięższą fizycznie i najryzykowniejszą służbę; jedni jak przyjaciele moi lub ci, którzy mnie znali poza Legionami, radzili mi oszczędzanie siebie jako siły pożytecznej w społeczeństwie; inni, jak cała plejada pracowników Departamentu Wojskowego w Piotrkowie, w ogóle nie traktowali mojej jazdy do Brygady jako przedsięwzięcia poważnego i sądzili, że chodzi mi tylko o zobaczenie się z Piłsudskim, zorientowanie się itd. dla przyszłej akcji politycznej albo ewentualnie o zaszczyt, o tytuł należenia do Legionów w postaci jakiejś lekkiej pozaliniowej służby. Ci z Piotrkowa, „dekujący się" na tyłach, nie wyobrażają sobie inaczej udziału w Legionach, jak poza linią. Pełno ich tam jest w szarżach oficerskich z gwiazdkami, którzy nigdy linii i ognia nie widzieli, jeno się czepiają przeróżnych czynności, werbunkowych, biurowych, agitacyjno-politycznych, kuchennych przy Departamencie itd., w najlepszym zaś razie w służbie baonów uzupełniających. Zresztą nawet w kraju, gdym wyjeżdżał, znajomi i przyjaciele moi nie sądzili, abym poszedł do szeregów ja, nie posiadający żadnej szkoły wojskowej, żadnych kwalifikacji wojowniczych, którego jedynym dotąd orężem czynu było pióro i słowo. Sądzono, że mnie przeznaczą do biura prasowego, a nawet ja sam, choć w sercu żywiłem pragnienie właśnie bezpośredniego czynu liniowego, wątpiłem, czy będę uznany za odpowiedniego i liczyłem raczej, że mnie przeznaczą do jakiejś służby pomocniczej. Nie ufając kwalifikacjom moim, przez skromność wstydziłem się nawet

---

więziony w Havelbergu, Rastadt i Werl. Dowódca 8 brygady kawalerii. W czasie kampanii wrześniowej 1939 r. zginął w walkach nad Bzurą.

nastawać i mówić o udziale moim w szeregu liniowym. W sercu tylko i sumieniu czułem, że czy przyjemna, czy nie – służba liniowa jest dopiero czynem rzetelnym, do którego powinienem iść, by spełnić rzeczywiście postanowienie moje. Wobec Piłsudskiego nie wstydziłem się mojego postanowienia o służbie liniowej, jak nie wstydziłem go się już wobec tych legionistów szeregowych, z którymi się w drodze do Kowla spotykałem. Przeciwnie – wobec tych ludzi, jak wobec Piłsudskiego, wstydziłbym się raczej starać o jakiś inny rodzaj służby. Ale piechoty chciałem uniknąć. Gdym Piłsudskiemu powiedział w naszej rozmowie pozawczorajszej, że do „piechoty mam najmniej ochoty" i pragnąłbym się dostać do kawalerii lub artylerii, Piłsudski nie zaprzeczył mi i nie zrobił gestu niechętnego, choć z pewnością to mu się nie spodobało. Co do kawalerii, oświadczył mi, że zwiększać jej nad miarę nie życzy, a kandydatów do niej bez liku, ja zaś jestem trochę do kawalerii za ciężki. Piłsudski lubi kawalerię tylko jako rzecz piękną i dodatkową, ceni natomiast jako właściwy czyn wojenny i kocha się jako w sztuce tego czynu w piechocie. Takie wyniosłem wrażenie z tego, co mi mówił o piechocie. Chwalił ją bardzo, wyceniał, zaznaczał, że ona jest tym, co pociągać może najbardziej miłośnika wojny i że błędem jest mniemanie, jakoby ona była najbardziej mechanicznym, bezmyślnym i tępym rodzajem broni. Po tej przemowie dał mi do wyboru: artylerię lub piechotę, uprzedzając, że w artylerii mógłbym być użyty tylko do trenowego rodzaju służby, np, przy dowozie amunicji, bo właściwa obsługa dział jest zapełniona elementem technicznie wyćwiczonym, którego w bitwach się prawie nie wybija. Wiedziałem, że Piłsudski będzie wolał, jeżeli się na piechotę zdecyduję. Wobec tego, co mówił, zdecydowałem się na piechotę. Piłsudski się ucieszył i powiedział mi, że za to skieruje mnie do swego ulubionego pułku - I pułku podpułkownika Śmigłego (Rydza)[37]. Chciał mnie wpierw skierować do batalionu rekruckiego, alem go prosił, aby mnie zwolnił od tego, abym nie musiał z młodocianymi rekrutami się musztrować. Zgodził się, rad z mojej decyzji i dał mi kartkę do Śmigłego, by mnie przydzielił do swego pułku. Śmigły na podstawie kartki Piłsudskiego do I batalionu mnie skierował. Dziś rano wymaszerowaliśmy już z Kowla i przyszli na noc do Czeremoszu.

16 września, rok 1915, czwartek

Jestem żołnierzem – szeregowcem I brygady Legionów Polskich I pułku I batalionu I kompanii II plutonu II sekcji. Sekcja to tylko jednostki wewnętrznego podziału w plutonie, nie zaś formacja samodzielna w organizacji wojskowej. Gdyby więc nie pluton II, to byłbym w samych pierwszych formacjach manewrowych. Dowódcami więc mymi bezpośrednimi są: brygady – brygadier Piłsudski; pułku – podpułkownik Śmigły nazwisko Rydz; baonu – kapitan Bukacki (nazwisko: Burhardt)[38]; kompanii –

[37] Edward Rydz-Śmigły (1886-1941), absolwent Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, od 1912 r. w Związku Strzeleckim. W l. 1914-1916 w I Brygadzie. Od października 1917 r. Komendant Główny POW. Minister wojny w rządzie I. Daszyńskiego. W czasie wojny polsko-sowieckiej dowodził m.in. 3 Armią, Frontem Płd.-Wsch., Frontem Środkowym, 2 Armią. Od maja 1921 r. inspektor armii w Wilnie. Po śmierci Piłsudskiego w maju 1935 r. mianowany Generalnym Inspektorem Sił Zbrojnych, a w listopadzie 1936 r. generałem broni i marszałkiem Polski oraz wyznaczony na następcę prezydenta RP. W wojnie 1939 r. Naczelny Wódz. W obliczu agresji sowieckiej 18 września 1939 r. przeszedł do Rumunii, gdzie został internowany. W grudniu 1940 r. przedostał się na Węgry, skąd w październiku 1941 r. przedostał się do kraju. Zmarł 2 grudnia 1941 r. w Warszawie.

[38] Stanisław Seweryn Burhardt-Bukacki (1890-1945), studiował architekturę na Politechnice Lwowskiej. Od 1906 r. członek Sokoła, od 1910 r. w Związku Strzeleckim, po czym w Polskich Drużynach Strzeleckich. Od X 1914 r. dowódca kompanii, a od grudnia baonu w I pułku Legionów. Od 1916 r. w 5 pułku piechoty Legionów. Internowany w Bebiaminowie. Komendant POW na okupację austriacką. W listopadzie 1918 r. szef sztabu wojskowego Lubelskiej Rep. Lud. W 1920 r. dowódca 8 dyw. piechoty,

porucznik Dąb (nazwisko: Biernacki), wreszcie plutonu – w miejsce nieobecnego [pod]porucznika [Stawińskiego-Kozickiego[39]] sierżant Kosa[40] (nie wiem – pseudonim czy nazwisko), człowiek bardzo sympatyczny, koleżeński, obywatelski, z którym się bezpośrednio stykam najwięcej. Stosunki koleżeńskie w pułku są sympatyczne, o wiele porządniejsze i szczersze od stosunków np. w Departamencie Wojskowym lub kompaniach rekruckich. Szczególnie na starych żołnierzach, którzy już od roku są w Legionach, znać wielkie wyrobienie i kulturę koleżeńską. W ogóle w starym żołnierzu dostrzegłem dużo cech sympatycznych: brak fanfaronady, niechęć do przechwałek, prostota i rzetelność – umiejętność wyczuwania prawdy i blagi, nienawiść do tej ostatniej, szacowanie ludzi i rzeczy podług zasług, wreszcie przekładanie czynu nad słowo. Jest pewien rozdział między starymi żołnierzami – „starą wiarą" – i tymi, którzy świeżo z rekrutów do pułku wcieleni zostali. Nowi stoją o niebo niżej od starych; jest to dopiero materiał surowy i lichszy, bez tego przygotowania ideowego, jakie w większości starych żołnierzy dokonywało się latami przed wojną; w ogóle rekrucki element jest więcej gruboskórny, bardziej duchowo elementarny, niż stary żołnierz. Ale wśród rekruta młodego nie brak jednostek ideowych i wykształconych. W plutonie naszym jest jeszcze garść starej wiary, złożonej z Galicjan, przeważnie Lwowiaków (są także z Borysławia, z Podhala Tatrzańskiego) oraz jest liczny zastęp rekruta z Lublina z tych, co pierwsi stanęli do szeregów legionowych po zdobyciu Lublina i co już przeszli przez okres ćwiczenia; są oni wcielani do pułku jako żołnierz regularny dopiero niedawno i jeszcze właściwego chrztu ogniowego nie doświadczyli. Starsi żołnierze traktują rekrutów z pewnym poczuciem wyższości, ale nie krzywdzą ich. W ogóle zasady ludzkości są w szeregach legionowych żywe. Stosunek do mnie jest od początku samego bardzo przyjazny; doznaję dużo serdeczności i życzliwości od wszystkich, a szczególnie względni i życzliwi dla mnie są starzy żołnierze. Nie spodziewałem się nawet tak dobrego stosunku od samego początku; żadnych drwinek ani złośliwości, zawsze chętna pomoc, koleżeńskie przyjęcie, usłużność; zdaje się, iż oni oceniają z uznaniem to, że stanąłem do ich szeregów, prosto na linię, nie zważając na wiek ani osobiste wyrachowanie. Żywa jest tu niechęć do tych, co będąc w Legionach, ukrywają się na tyłach, na różnych stanowiskach bezpiecznych. W ogóle ciekawy jest typ ludzki w Legionach, szczególnie właśnie w szeregach liniowych. Z tych ludzi wyjdzie po wojnie materiał może fizycznie podrujnowany, ale moralnie i duchowo tęgi, bardzo dodatni – oby tylko Polska zdobyła Niepodległość i obu ludzie ci wsiąkli w naród, nie marnując się na emigracji.
Dzień dzisiejszy spędziliśmy w Czeremosznie. Wczoraj wyprowadzono nas z Kowla o godz. 4 rano, budząc nas na alarm. Różne były domysły o przyczynie naszego wymarszu. Wyruszyła cała Brygada wraz ze sztabem. Powiadają, że ten wymarsz był manewrem ze strony Piłsudskiego, który sfabrykował pozory niebezpieczeństwa kozackiego i urządził alarm, aby nas wyprowadzić w inną stronę i nie dopuścić do oderwania od Brygady dwóch batalionów do osłony artylerii austriackiej w kierunku na Ołykę pod Galicją, jak brzmiał rozkaz Komendy Legionów[41].

17 września, rok 1915 piątek

---

następnie grupy złożonej z 8 i 10 dyw. piechoty. We wrześniu tegoż roku d-ca grupy operacyjnej w 6 armii. Zmarł na emigracji.
[39] Stanisław Stawiński-Kozicki, ppor., komendant 2 plutonu 1 kompanii I batalionu 1 pp. I Brygady.
[40] Władysław Morbitzer-Kosa, członek Związku Strzeleckiego z Dębicy, sierżant 2 plutonu 1 kompanii I batalionu 1 pp. I Brygady, poległ 17 X 1915 r.
[41] Marsz na Czeremoszno był rzeczywiście jaskrawym naruszeniem dyscypliny wojskowej, jawnym zamanifestowaniem dążenia do niezależności od Komendy Legionów.

Dziś wypadł dzień „wielki" dla nas dzień wojenny, wszakże niefortunny. Ale napiszę po kolei. W nocy w Czeremosznie miałem godzinkę warty, od dwunastej do pierwszej w nocy, ale warty lekkiej, kwaterunkowej. O godz. 3 rano zbudzono cały batalion i o godz. 4 wymaszerowaliśmy z Czeremoszna. W Czeremosznie postój mieliśmy spokojny. Duża ta wieś, jak również piękny przy niej dwór z obszernym i starannie założonym sadem owocowym – są zupełnie puste. Wieś ocalała, nic nie spalone, ale ludności nie ma wcale: wszyscy wygnani przez kozaków lub uciekli sami. Dokąd wyruszamy dalej z Czeremoszna, tego nikt z żołnierzy dokładnie nie wiedział. Poprzednio były pogłoski, że ruszamy gdzieś w kierunku na Pińsk, to znów że mamy za zadanie oczyścić okolicę od kozaków i ewentualnie pełnić straż przednią. Dziś zaczęto mówić, że maszerujemy, aby kozaków z jakiejś wsi sąsiedniej wyrzucić. Doszliśmy do wsi Smolary, położonej o kilka kilometrów na wschód od Czeremoszna i zajętej przez nasz II pułk I Brygady. Tuż za Smolarami ciągnie się pasmo błot, przez które sączy się jedna z bagnistych rzeczek Polesia. Nasze zadanie było przejść za te błota na wschód, gdzie się już zaczyna właściwy teren rosyjskiego posiadania i wypierać kozaków. Obecność kozaków tam, jak również w okolicy na południe stąd, w promieniu kolei na Sarny, dała się już naszym Legionom we znaki. Tak oto gdzieś w tych okolicach kozacy napadli w nocy na IV pułk, który kwaterował we wsi, pochwycili z kwater do 80 ludzi, których pognali w niewolę, wyrządzili jeszcze straty w zabitych i rannych i ukryli się. W Smolarach kazano wszystkim zdobyć sobie po desce na kładki dla przejścia przez bagna; z drzwi, wrót i zagród w stodołach powyrywaliśmy potrzebne nam deski i ruszyliśmy z nimi pod pachą jak drewniane wojsko na błota. Żołnierze II pułku ułożyli kładki i z kładek mosty przez liczne odnogi rzeczki i takeśmy się przeprawili; na drugiej stronie bagien weszliśmy w lasy, szliśmy kompaniami marszem, ubezpieczonym przez patrole i łączniki, utrzymując też ciągle połączenia telefoniczne. W wyprawie brał udział cały nasz pułk; w zastępstwie Śmigłego dowodził wyprawą Bukacki. III batalion, który wespół z naszym I-szym tworzy pułk I, szedł inną drogą na inną wieś. Posuwaliśmy się powoli, stosownie do pracy patroli i oddziałów wywiadowczych oraz łączników. Ludzi cywilnych, chłopów, których spotykano, aresztowano i brano ze sobą, tak dla języka i na ewentualnego przewodnika, jak dla zabezpieczenia się od możliwych szpiegów. Tak pochwycono jednego chłopa z babą, orzących wołami w polu, tak drugiego pochwycono w lesie. Wreszcie zbliżyliśmy się do wsi, z której mieliśmy wyprzeć kozaków. III kompania nasza wysunęła się na czoło w mały pasek lasu sosnowego przed wsią; nasza kompania I-sza stanęła za laskiem w rezerwie, kładąc się w mchach wśród niskich krzaków sosnowych; w razie potrzeby mieliśmy wzmocnić lewe skrzydło. Patrole wysunęły się też w lasek. IV kompania została na tyłach, gdzie została II-ga – nie wiem. Już w drodze słyszeliśmy gdzieś z daleka od czasu do czasu huk pocisków z dział. Teraz, gdyśmy zajęli stanowiska, wnet usłyszeliśmy na przedzie od lasku w kierunku wsi strzały karabinowe; to nasi strzelali do kozaków we wsi. Wystrzały z początku rzadkie, przeszły w gęste pukania; strzelali też kozacy, jak nam później mówiono – siedząc na dachach domów na wsi. Kilkanaście kul zaleciało aż do nas, sycząc charakterystycznie nad głowami naszymi; pokładliśmy się niżej między kępkami mchu i ziemi. Wkrótce usłyszeliśmy salwy; przyszedł meldunek, że kozacy się cofają; po tym przyszła wieść, że część wsi jest już przez naszych obsadzona, strzały ustały. Dąb poprowadził naszą kompanię do wsi. Czy była ona cała wolna od kozaków – nie wiedzieliśmy; pod wsią patrole nasze natykały się na kozackie. W potyczce tej zraniony został ciężko dwukrotnie w głowę jeden szeregowiec z III kompanii i jeden lekko w nogę. Wkroczyliśmy do wsi; pluton stanął w jednej z chat i już nasi zaczęli rozkładać ogień. Wtem przyszedł meldunek, że III batalion, który zdobywał pobliską wieś Czersk, został zaatakowany przez przeważające siły kozaków i poniósłszy straty, a

w tej liczbie najdotkliwszą stratę karabinu maszynowego, musiał się cofnąć i cofnął się aż nazad za błota. Wobec tego musieliśmy się natychmiast śpiesznie cofać i my, bo kozacy mogli nas wnet zaatakować, a ewentualnie mogli nas odciąć od błot i otoczyć. Byliśmy bowiem osamotnieni w tej wsi, odgrodzeni błotami od naszych sił, więc wśród ciemnej nocy poszliśmy w las bliższymi drogami nazad, aby czym prędzej przejść przez błota.

18 września, rok 1915, sobota
Odwrót z zajętej przez nas wsi za bagnami Stochodu (jest to bowiem rzeka Stochód, przez której liczne odnogi przeprawialiśmy się po kładkach w naszej wyprawie wczorajszej) powiódł się nam szczęśliwie. Szliśmy nocą lasami w milczeniu, nie paląc papierosów, unikając głośnej rozmowy, nawołując się umówionymi gwizdkami. Chodziło o to, aby jak najprędzej i najkrótszą drogą dostać się do błot Stochodu, za którym dopiero bylibyśmy zupełnie bezpieczni. Choć ludzie byli zmęczeni, bo od świtu, od godz. 3 byli już wczoraj na nogach w pełnym rynsztunku, jednak maszerowali raźnie. Wszelki odwrót zawsze wpływa deprymująco na żołnierza, ale tu wszyscy czuli i rozumieli, że chodzi o rzeczywistą i pilną potrzebę wyjścia natychmiastowego z niebezpiecznej sytuacji, która mogła się stać dla nas pułapką; toteż choć niejeden klął po cichu, jednak wszyscy maszerowali regularnie, bez maruderstwa. Droga była męcząca, przez las, przez piaski, po ciemku; gałęzie i krzaki nas szarpały, noga się potykała o pnie, korzenie i dziury lub grzęzła w piasku głębokim, ale się szło. Wieźliśmy też na wozie naszego rannego, dopóki konie nie ustały, a wtedy sanitariusze wzięli go na nosidła ręczne i ponieśli dalej, konia zaś wyprzężono i poprowadzono ze sobą. Przewodnikiem nam przez las służył ten chłop, którego wczoraj pochwycono w lesie. Był to Rusin zajadły, niechętny nam, zły i ponury; nie chciał nas prowadzić – tak, że dopiero mu sznur na szyję zarzucono, a lufę karabinu do głowy skierowano i wtedy chłop poprowadził doskonale. Już późną nocą dotarliśmy do naszej przeprawy na bagnach Stodochu. Przeprawa po kładkach, która i we dnie była ciężka, teraz w nocy była podwójnie uciążliwa. Wreszcie koło godz. 4 ½ w nocy dotarliśmy do wsi Smolarów, gdzieśmy już byli bezpieczni, bo błota mieliśmy za sobą, a we wsi prócz nas kwaterowały inne nasze oddziały. Gdyby nas tak kozacy byli przyłapali w chwili przeprawy przez bagna, byliby nas potłukli pięknie. W Smolarach dostaliśmy w naszej kuchni obiad nasz wczorajszy (groch) i kawę, bo kuchnia za nami nie przechodziła za błota i przez cały dzień byliśmy bez ciepłego obiadu, jeno mieliśmy kiełbasę ze sobą. O godz. 5 ½ rano zmęczeni położyliśmy się wreszcie spać. Pozwolono nam nawet rozebrać się całkowicie. Nasz pluton spał w stodole na słomie. Wszakże już o godz. 6 ½ rano obudzono nas i poprowadzono zaraz o 10 wiorst od Smolarów do wsi Zajączówki, położonej nad Stodochem, gdzie nas zakwaterowano. W wiosce tej stał do naszego przyjścia nasz III pułk I brygady. Tu przed kilku dniami kozacy napadli na III pułk i nawet ostrzeliwali wioskę z dział. Jeden szrapnel uderzył tuż opodal placówki III pułku. Po naszym przyjściu III pułk zaraz wymaszerował, a my zostaliśmy we wsi. Dobra tu wieś, bo ludność cała pozostała na miejscu; kozacy wyganiali, ale chłopi ukryli się w lasach i wrócili; wieś niewielka, 10 chat gospodarskich. W zaludnionej wsi postój jest o wiele przyjemniejszy, niż w opuszczonej; weselej, gdy są ludzie i zresztą wygodniej, bo rozmaitych rzeczy można dostać; jest mleko, chleb, ser, znajdzie się masło. Gospodarze i kobiety Rusinki wydają się nam przychylni, klną kozaków oraz rząd rosyjski; nikt też z nas, co mogę stwierdzić z przyjemnością, nie wyrządza ludności krzywdy, przynajmniej prawie nikt. Za wszystko, co się bierze, płaci się gotówką. W prawdzie po takim postoju wszystkie zapasy we wsi są wyczerpane, ale pieniędzy ludności przybywa.

19 września, rok 1915, niedziela

Nawet starzy żołnierze nasi powiadają, że ten rodzaj wojny, który teraz nam wypadł, jest szczególnie uciążliwy, męczący i niebezpieczny, gorszy od walki regularnej. Na tym bowiem terenie walki, gdzieś między gub. wileńską a Łuckiem – a więc na Polesiu – nie ma właściwej linii frontu, zajętej przez regularne wojska, posuwające się ławą naprzód. Bagnisty i leśny teren oraz brak dróg utrudniają, a bodaj uniemożliwiają ruch liniowy. Toteż tu żadnej stałej linii nie ma; poszczególne wsie i cząstki kraju są zajęte przez Moskali, inne przez wojska sprzymierzone; kozacy grasują wszędzie, gdzie się da; walka, która się tu toczy, ma charakter partyzantki; trzeba stopniowo wieś za wsią oczyszczać od kozaków, szturmując w otwartej walce i nawzajem być narażonym na ich napady; są to rozprawy krwawe, wojna typu pierwotnego, pojedynkowego; nie ma przygotowania pozycyjnego, nie ma pomocy artyleryjskiej. Takie zaś zadanie wyznaczone jest naszym Legionom. Pracy jest w tym huk, bo trzeba być w ciągłym pogotowiu, a jeszcze w każdej rozprawie ma się straty bolesne, jak to już doświadczył IV pułk oraz III batalion naszego I pułku I brygady. Nie mamy chwili spokoju; o ile nie mamy marszów i rozprawy w zdobywaniu wsi, o tyle mamy ciągłą robotę na placówkach i wedetach[42], a nawet gdy zostajemy na kwaterze w nocy, to się nie możemy rozbierać ani zdejmować obuwia, bo musimy być w każdej chwili gotowi na alarm. Już przez kilka nocy nie rozbieraliśmy się i nie zdejmowali obuwia. Wszy – ta plaga żołnierza na wojnie – gnębią nas nieznośnie. Tutaj zaś w Zajączówce mamy, prócz wszy, całe chmary pcheł. Całe ciało jest pokąsane przez robactwo. Wszyscy przez cały dzień się skrobią; jak tylko wejdą na kwaterę, wnet się rozpinają, wsadzają ręce głęboko we wszelkie otwory odzienia i skrobią się zapamiętale, z rozkoszą, klnąc i tępiąc wyłapane insekty; inni wywlekają na zewnątrz brzegi koszuli i polują na wszy i pchły. W roku zeszłym jadąc przez Serbię obserwowałem w Niszu gromady Macedończyków czekających na dworcu kolejowym na pociąg: uderzyło mnie to, że ludzie ci kładąc się gromadami na ziemi, zaczynają się wnet po całym ciele skrobać jak psy; nie spodziewałem się, że sam wkrótce stanę się podobnym do nich, a tu wszyscy przypominają tych Macedończyków. Wczoraj mieliśmy służbę na placówce pod samą wsią Zajączówką, w której kwaterujemy. Placówka była usadowiona w budce strażniczej kolejowej. We dnie stałem godzinę na posterunku obserwacyjnym na wzgórzu; w nocy były na placówce dwie zmiany z naszego plutonu 10 ludzi w każdej; ja należałem do zmiany pierwszej, od zmroku do 1 w nocy; komendantem placówki był nasz sekcyjny z II sekcji – obywatel Partyka[43], stary żołnierz z Borysławia; do zmiany należeli prócz mnie: obywatel Mars[44], Knapczyk[45], Grzmot[46], Zięba[47], Komacki[48], Pachuta[49], Szyszkowski[50] i jeszcze paru. Placówka była wygodna, bośmy mieli w budce ogień i ciepły piec przy zasłoniętych od światła oknach, ale za to na posterunkach było ciężko, bo zimny wiatr szalał. Pierwszy posterunek miałem od godz. 8 do 10 na torze kolejowym. Zimno było przenikliwe, a uważać trzeba było pilnie, bo ukazanie się kozaków było zupełnie prawdopodobne; przy wichurze nocnej na południowym

[42] Wedeta – przestarz. warta, czaty, pikieta.
[43] Józef Partyka, legionista 2 plutonu 1 kompanii I batalionu 1 pp. I Brygady.
[44] Józef Fiałkiewicz (Fijałkiewicz)-Mars, legionista 2 plutonu 1 kompanii I batalionu 1 pp. I Brygady.
[45] Aleksander Knapczyk, legionista 2 plutonu 1 kompanii I batalionu 1 pp. I Brygady, ranny 22. X. 1915 r. pod Kuklami.
[46] Józef Konaszewski-Grzmot, legionista 2 plutonu 1 kompanii I batalionu 1 pp. I Brygady.
[47] Zięba (Ziemba), legionista 2 plutonu 1 kompanii I batalionu 1 pp. I Brygady.
[48] Brunon Komacki, legionista 2 plutonu 1 kompanii I batalionu 1 pp. I Brygady.
[49] Pachuta, legionista 2 plutonu 1 kompanii I batalionu 1 pp. I Brygady.
[50] Józef Szyszkowski, legionista 2 plutonu 1 kompanii I batalionu 1 pp. I Brygady.

horyzoncie w kilku miejscach płonęły na niebie łuny pożarów – znaki grasowania kozaków; jeden pożar był bliski, inne coraz dalsze; musiały to się palić tylko samotne stodoły albo stogi siana, bo po jakichś minutach 20 gasły. Chwilami ukazywał się jasny księżyc, w którego srebrzystym świetle dziko wyglądały krwawe blaski łun pożarów. Drugi posterunek w okopie w polu od godz. 10 do 12 we dwóch z sympatycznym rekrutem Grzmotem. Dziś od zmroku przez całą noc znów nasz pluton miał placówkę – tym razem odległą pod mostem na Stochodzie.

20 września, rok 1915, poniedziałek
Ciężką mieliśmy dzisiejszej nocy placówkę. Zajmowaliśmy ją od wczoraj wieczorem do dziś w południe. Placówka ta była pod mostem na Stochodzie czy kanale łączącym się ze Stodochem, o 2 kilometry od naszej wsi; szło się tam torem kolejowym przez zrujnowany przez Moskali kolejowy most, po którym przejście było niezwykle ciężkie. Placówka ta była przy wsi sąsiedniej, zajętej przez II kompanię, i właściwie powinna była należeć do niej, ale ponieważ II kompanię miała jeszcze dwie inne placówki, więc ją nam dano. Na placówkę wyruszył cały nasz pluton, połowa przez pierwszą część nocy spała w niedalekiej stodole, podczas gdy druga czuwała, i przez drugą część nocy odwrotnie. Posterunki wedetowe były tylko trzy, toteż wartowania dużo nie było, ale na samej placówce trzeba siedzieć nie śpiąc – poprzednicy nasi zaopatrzyli placówkę obficie w słomę, zasłonili ją od wiatru, ale zimno było jednak. Czuwałem przez pierwszą połowę nocy, a wedetę dwugodzinną miałem lekką, położoną tuż w pobliżu placówki. Jakoś nie było dziś nastroju niespokojnego na placówce; mówiono, że kozacy się cofnęli, zresztą noc była jasna i dość cicha, pożarów dokoła nie było widać. O godz. 12 ½ zmieniła nas druga połowa plutonu, my zaś poszliśmy do stodoły; zimno było spać w stodole, bodaj jeszcze zimniej niż na placówce. O godz. 5 rano znów poszła nasza zmiana w uszczuplonej liczbie i zajmowała placówkę do południa; tu wypadł mi tylko jeden godzinny posterunek. Nie wiadomo, jak długo zabawimy w tej wsi; od ludzi, którzy wracają ze wschodu, dowiadujemy się, że podobno znaczniejszych sił rosyjskich w pobliżu nie ma, dopiero gdzieś o wiorst 30 kopią okopy, prawdopodobnie gdzieś nad Styrem; tu zaś bliżej są tylko rozproszone oddziały kozackie; słychać, że w zadaniu naszym mamy być zasileni przez piechotę austriacką, która podąża podobno w te strony. Dziś władza nasza nakazała chłopom kopanie pod wsią okopów. Wieczorem miałem lekką wartę kwaterunkową przed komendą kompanii; w czasie mojej warty we wsi zdarzył się pożar, zapaliła się jedna chata przez nieostrożność przy pieczeniu chleba przez legionistów. Był chwilowo alarm, ale się wnet uspokoiło po wyjaśnieniu przyczyny pożaru. Wieczorem rozeszła się wieść, że jutro wymaszerujemy w dalszą drogę naprzód. Dobrze nam było w tej wsi; dostawaliśmy obficie mleka, trochę masła, chleba, jak zawsze – w zaludnionej wsi żołnierz ma się dobrze; to się nagada z ludźmi, baby go opiorą, dostanie czegoś do zjedzenia, amatorowie płci pięknej uprawiają flirt i bawią się okazyjnie. Chłopi w tej wsi wydają się nam życzliwi; są bardzo rozgoryczeni na kozaków za rabunki, palenie wiosek, wyganianie ludzi, gwałty. Podobno liczne rzesze włościan tułają się i ukrywają po lasach między Stodochem a Styrem, czekając okazji powrotu do opuszczonych miejsc w zachodnich stronach Wołynia. Nieco ludzi wciąż i teraz się sączy z powrotem ze wschodu; niektórych, zwłaszcza młodych mężczyzn, aresztują, innych puszczają wolno, dając przepustki na dalszą drogę. Koledzy żołnierze są na ogół sympatyczni, stosunek ich do mnie jest więcej niż poprawny; wszyscy starzy żołnierze stosują się do mnie z wielką uczynnością, nawet z szacunkiem; do najsympatyczniejszych w plutonie należą Mars (pseudonim), kapral

Gutz[51], sierżant Kosa, z rekrutów zaś lubelskich Grzmot. Ten ostatni jest dla mnie najsympatyczniejszy w całym plutonie; młody chłopak, z natury inteligentny, wykształcony, choć pochodzący z klasy co najwyżej średniej; jest to człowiek wybitnej osobistej wartości duchowej. Mam dla niego szczerą sympatię. Większość rekrutów lubelskich w naszym plutonie – to element bardzo marny, a przynajmniej zupełnie surowy, tak ideowo, jak intelektualnie i moralnie. Są o całe niebo niżsi od starych żołnierzy.

21 września, rok 1915, wtorek
Dziś rano wyruszyliśmy ze wsi Zajączówki w dalszą drogę na wschód na wypieranie kozaków. Ze względu na zniszczony most kolejowy na Stochodzie, trudny do przebycia dla piechoty, a zgoła nieprzebyty dla taboru naszego, poszliśmy drogą okólną na miasteczko Hulewicze. W Hulewiczach mosty są także zniszczone, ale z pomocą ułożonych pomostów przeszli tak ludzie, jak konie i wozy. Bezpośrednio stamtąd ruszyliśmy dalej. Wkrótce weszliśmy do wioski Czerniawki czy Czerniówki, w której czy koło której miała miejsce przed kilku dniami potyczka jednego z naszych oddziałów z kozakami. Chłopi z tej wsi przyjęli nas życzliwie – wydali zwierzchności naszej człowieka, który służył kozakom za przewodnika; znaleziono też tu w wiosce części straconego zdaje się przez IV pułk karabinu maszynowego, który chłopi tutejsi ukryli od kozaków i teraz nam wydali. Chłopi tu są katolicy i sprzyjają nam (właściwie to tu mało odróżniają nas od Austriaków i sympatie antyrosyjskie czy austrofilskie mechanicznie też stosują się do nas bez specjalnego motywu polskich niepodległościowych tendencji, reprezentowanego przez nas). W Czerniawce zjedliśmy na poczekaniu obiad i ruszyliśmy dalej na miasteczko Trojanówkę, z którego mieliśmy wyprzeć kozaków. Nasza kompania postępowała pierwsza; na czele szedł I pluton prowadzony przez podporucznika Bożywoja[52]. Nasz pluton wydzielał ze siebie łączników idących parami w pewnych odstępach między I plutonem a resztą kompanii, postępującą nieco z tyłu. Na łączników wyszła cała I sekcja naszego plutonu i z VI sekcji nas trzech – Knapczyk, Mars i ja. Ja szedłem w ostatniej parze łączników. Nie dochodząc wsi rozległy się na prawym skrzydle naszym wystrzały karabinowe w lesie. Były wystrzały nasze i rosyjskie. Na prawym naszym skrzydle szedł na wieś III batalion; jak się później okazało, patrol zabezpieczający III batalionu został w lesie w pobliżu wsi napadnięty przez kozaków, którzy rzucili się nań z dzidami; w patrolu byli młodzi żołnierze z rekrutów, którzy rzucili się do ucieczki, ale oczywiści zostali dogonieni, pokłuci i zabici; jeden został zabity przez rozcięcie czaszki, drugi ciężko zraniony przez przekłucie głowy, trzeci lżej ranny, czterech zaś uprowadzili kozacy w charakterze jeńców. Tymczasem nasz I pluton naszej kompanii wkroczył w tyralierce do wsi, nam zaś z II plutonu, którzyśmy szli za łączników, Bożywoj nakazał spatrolować prawe skrzydło miasteczka, opuszczonego już przez kozaków, którzy się cofnęli. Rozwinęliśmy linię tyralierską i prowadzeni przez zastępcę sekcyjnego, kaprala I sekcji Dzięgiela[53], ruszyliśmy z karabinami w pogotowiu w poprzek przez bocznice miasteczka, przekraczając płoty, opatrując dziedzińce, stodoły itd. Miasteczko Trojanówka jest rozgałęzione na długie bocznice, których kilka wybiega daleko w pole

[51] Michał Gutz (Guc)-Sabała, kapral 2 plutonu 1 kompanii I batalionu 1 pp. I Brygady.
[52] Józef Rybka pseud. „Bożywoj" (1889-1916), absolwent Akademii Rolniczej w Dublanach. Należał do tajnej Armii Polskiej oraz Polskich Drużyn Strzeleckich. W l. 1910-1911 uczęszczał do szkoły podchorążych PDS. Od lutego 1912 r. do stycznia 1913 r. był dowódcą dublańskiej szkoły podchorążych PDS. W czasie wojny dowodził plutonem w 1 kompanii I baonu 1 pp. I Brygady. 9 X 1914 r. otrzymał stopień ppor. piechoty. Poległ 5 lipca 1916 r. podczas bitwy pod Kostiuchnówką.
[53] Wojciech Dzięgiel (Dziengiel), legionista 2 plutonu 1 kompanii I batalionu I Brygady.

poza ośrodek, ku lasom. Przeszliśmy wreszcie wszystko, nie natrafiając na nic podejrzanego. Możliwość ukrytych w miasteczku kozaków dla zasadzki nie uwidoczniła się. Dochodząc do ostatnich kresów bocznic miasteczka mieliśmy przed sobą długi grzbiet wzgórza, spadający stopniowo na prawo w kierunku lasu. Nasi ujrzeli na szczycie pochwyconych z patroli III baonu. Dzięgiel wszakże waha się z udzieleniem pozwolenia na strzelanie, a tymczasem kozacy zeszli za wzgórze. Przez jakiś czas widzieliśmy na wzgórzu sylwetki obserwatorów kozackich, ale daleko było do nich i zresztą nie było rozkazu ani zezwolenia na strzelanie. Po tym i ci się cofnęli. W miasteczku rozlokowały się wkrótce nasze oddziały, które tu w sile kilku batalionów wkroczyły.

22 września, rok 1915, wtorek
Nasz pluton nie miał w nocy żadnych placówek, jeno posterunki lekkiej warty kwaterunkowej przy komendzie kompanii. Ja spełniałem tę wartę od godz. 3 do 5 w nocy. Żadnego alarmu, żadnego napadu kozaków ani strzelaniny na placówkach w nocy nie było. Kozacy nas nie niepokoili, choć się obawiano tego, bo lasy z bliska otaczają miasteczko. Jakeśmy się dowiedzieli od ludności w miasteczku, kozacy przed paru dniami prowadzili tędy kilkudziesięciu naszych legionistów z IV pułku, zabranych podczas niedawnego ich napadu nocnego na ten pułk. Przez całą noc paliły się na kresach miasteczka poszczególne chaty i stodoły, podpalane z rozkazu naszej komendy przez placówki dla oświetlenia okolicy w celach obserwacyjnych. W miasteczku Trojanówce pozostała tylko nieznaczna część ludności; większość uciekła, bojąc się walki i nas. Kozacy, zdaje się, nie gonią już stąd ludności tak bezwzględnie, jak gnali w Królestwie, ale bądź co bądź namawiają do ucieczki, straszą, że my (to znaczy nie tylko my, ale też w ogóle Austriacy i Niemcy) będziemy rżnąć ludność, gwałcić kobiety itd. Zresztą większość ludności zmyka tylko do lasów, aby się tam przez jakiś czas ukryć i potem po przeczekaniu pierwszej nawały walk, wrócić. Ci, co uciekają, wychodzą gorzej, przynajmniej w stosunku do zachowania się naszych legionowych wojsk. Chaty bowiem opuszczone – zostają całkowicie splądrowane i wszystko, co się w nich użytecznego znajdzie, zabrane, a już zwłaszcza kury i świnie; tymczasem u tych, którzy pozostali, zazwyczaj się kupuje to, co potrzeba i co się da wziąć, płacąc akuratnie; rabowanie kur, świń albo innego dobytku tych naszych gospodarzy, którzy pozostali na miejscu, zdarza się w naszych legionowych szeregach tylko wyjątkowo. Na niektórych opuszczonych chatach w miasteczku widziałem zawieszone nade drzwiami albo na kruczkach w zamkniętych drzwiach z zewnątrz obrazki święte, widocznie albo dla zaznaczenia nam, że są to domy chrześcijańskie, byśmy je oszczędzali, albo dla ubłagania opieki odpowiednich świętych nad opuszczonymi domostwami. O godz. 12 w południe obwołano zbiórkę. Ubrani w pełny rynsztunek zjedliśmy naprędce stojąco obiad i wymaszerowaliśmy z Trojanówki w dalszą drogę naprzód. Dziś nasz pluton szedł na czele na pierwszą linię ataku. Szliśmy drogą lasem rządowego leśnictwa trojanowskiego. O jakieś 6 do 7 wiorst od Trojanówki leży wieś Hradyska[54], której zajęcie było celem naszej wyprawy. Gdyśmy już byli niedaleko wsi, Dąb w ten sposób określił nasze zadanie: I pluton, mając za sobą w rezerwie pluton III, miał pod wodzą Bożywoja i samego Dęba iść na wieś od frontu, my zaś, pluton II, posłani zostaliśmy na prawe skrzydło, abyśmy szli równolegle w odległości ± 400 kroków od I plutonu; poprowadził nas Kosa. Las zawraca się po wsią i wydłużonym pasem zachodzi na prawe skrzydło wsi pod błota bagnistej rzeczki; tym pasem szliśmy my, wydzieliwszy z pośród siebie zabezpieczenie z prawej strony. Gdyśmy przeszli przez całe pasmo lasu i

[54] Miejscowość Hradysk.

wyszli na jego skraj, mieliśmy przed sobą małe pólko młodocianego sośniaku, za tym jeszcze kępkę lasu i za nią bezpośrednio wieś; ustawiliśmy się w tyralierę i z karabinami w pogotowiu przeszliśmy przez młodniak sosnowy. Gdyśmy stanęli w ostatnim lasku, ujrzeliśmy na skraju wsi naprzeciwko cerkwi jadącego kozaka, który dojechał do mostku na rzeczce i na nim stanął. Okazało się, że I pluton nieco za wcześnie wyszedł z lasu na wieś, nim my zdążyliśmy z prawej strony od błot. Garstka kozaków ujrzawszy piechotę cofnęła się, a ten kozak, którego widzieliśmy, jechał na tyle jako obserwator; był on od nas w odległości ± 500 kroków i oni się domyślali naszej obecności. Kozak pozwolił nam dać do niego kilka strzałów. Kilku z nas, i ja w ich liczbie, wyruszyliśmy naprzód i wystrzeliliśmy po parę razy. Były to moje pierwsze strzały na wojnie. Kozacy szybko umknęli.

23 września, rok 1915, czwartek
We wsi Hradysce czy Hradesce, którąśmy wczoraj wieczór zajęli i w której noc spędziliśmy, obawialiśmy się poważnie nocnego napadu kozaków. Wieś ta jest ze wszystkich stron otoczona wielkimi lasami, dogodnymi dla ukrycia się kozaków. Od wschodu jest wprawdzie broniona szerokim pasmem bagna, przez które przepływa jakaś rzeczułka; bagna te są niedostępne dla kawalerii i nawet trudne do przebycia dla piechurów; ale kozacy mogli się ukrywać w lasach z tej strony bagien albo też znać jakieś przejścia przez nie gdzieś dalej od wsi, by napaść ze strony suchych piasków; tu bowiem są wszędzie albo bagna i torfowiska, albo piaski głębokie – typowe Polesie. Toteż w nocy rozstawione były gęsto nasze placówki; bodajże wszystkie kompanie, które tu są, miały swoje placówki, między którymi były ustawione systematycznie ruchome łączniki. Nasz pluton miał zresztą lekką placówkę, jedną z najmniej odpowiedzialnych. Nie przeszkadzało to temu, że była ona przykrą, bo noc była bardzo zimna.
Byłem na placówce z III sekcją od godz. 11 wieczór do godz. 4 ½ rano i w tym czasie dwukrotnie stałem na posterunku, ogółem 2 ½ godziny. Pomimo że noc była jasna, księżycowa, z niektórych placówek puszczano świetlne rakiety i kilkakrotnie padały gęste strzały do rzeczywistych czy urojonych nieprzyjaciół, których rzekomo spostrzegano. Rano mówiono, że 11 kozaków próbowało zbliżyć się do naszych pozycji i że stąd były te strzały. Czy to prawda – wątpię. Niektóre kompanie grzeszą nadmiarem podejrzliwości, a strach ma wielkie oczy szczególnie w nocy. O godz. 10 ½ rano wymaszerowaliśmy w dalszy pochód. Znowu nasza kompania szła na przedzie na zdobycie następnej z kolei wsi. Na czele szedł I pluton pod Bożywojem, za nim nasz pod Kosą, wreszcie trzeci pod Wiatrem[55]. Z naszego plutonu sekcja I i nas trzech z sekcji II (Knapczyk, Mars i ja) szliśmy znów za łączników. Ja znów szedłem z Marsem w ostatniej parze łączników. Droga prowadziła przez las, przecinając liczne błota i bagienka, przez które trzeba się było przeprawiać; szliśmy do miasteczka Gorodok, które mieliśmy zdobyć. Już przed wyjściem z Hradyski dowiedzieliśmy się, że z północy, to znaczy naszego lewego skrzydła, blisko nas są Prusacy, którzy się też mniej więcej w kierunku Gorodka zbliżają, a że dalej za nimi na lewo jest kawaleria austriacka. Wychodząc ze wsi Hradyski, spotkaliśmy za bagnami u skraju lasu szpicę kawalerii niemieckiej. W lesie po drodze spotykaliśmy ślady świeżego postoju kozaków, którzy tu widocznie jeszcze tej nocy stali obserwując nas i utrzymując łączniki do Gorodka. Posuwaliśmy się przez las dość szybko. Niedaleko wylotu lasu pod Gorodkiem była przez całą szerokość lasu przecięta linia wyrąbanych drzew, stanowiąca obserwacyjną pozycję kozaków. Gdy zabezpieczenie boczne I plutonu

[55] Wiatr – przypuszczalnie Leszek Broniowski; bliższych danych brak

wyłoniło się z lasu na tę linię, ujrzało na niej trzech konnych kozaków, do których zaczęto wnet strzelać szybkim ogniem. Myśmy się wszyscy pokładli słysząc strzały i pod osłoną pniaków i występów oraz kępek gotowali do strzelania na wypadek napadu. Kozacy szybko umknęli do miasteczka, dając strzały w odpowiedzi na nasze. Zboczyliśmy wówczas z drogi na lewo, obchodząc wzgórze, które było wprost za lasem i wyciągało się równolegle do wsi. I pluton rozłożył się w tyralierskim pogotowiu, dalej za nim na prawym skrzydle pary łączników, wreszcie nieco w głębi w kolumnie reszta kompanii. Leżeliśmy na brzegu lasu, nie wychylając się z niego. Tymczasem patrole były wysyłane na skrzydła i na wzgórze dla zbadania sytuacji. Dość gęsto od strony wsi sypały się pojedyncze karabinowe wystrzały rosyjskie, przelatując z sykiem między wzgórzem a lasem. Tymczasem z lewego skrzydła grzmiała artyleria niemiecka, śląc na pozycje rosyjskie za wsią granaty i szrapnele. Po raz pierwszy słyszałem z bliska przeciągłe wycie granatów. Spostrzeżono okopy rosyjskie; znać Rosjanie gotowali się do obrony, ale obecność artylerii niemieckiej w połączeniu z naszą piechotą odebrała im chęć forsowania obrony, toteż się cofnęli, co się wkrótce ujawniło. Myśmy żadnych strat nie mieli. Wkrótce nasi wkroczyli do wsi. Od czasu do czasu gwizdały jeszcze z boku kulki cofających się Rosjan. Od włościan dowiedzieliśmy się, że byli tu tylko kozacy obecnie, ale gdzieś w pobliżu jest piechota, bo wczoraj była w Gorodku i ona te okopy przygotowała. Wieś czy miasteczko Gorodok – typowo poleskie; jest to pierwsza wieś, w której już charakter ukraiński ustępuje poleskiemu; chaty czarne, bez żadnych podmurówek, rozrzucone w nieładzie, drzew mało; ludność – Poleszuki kudłate w białych sukmanach i łapciach, dobroduszni i prymitywni. Wieś spatrolowaliśmy i stanęliśmy. Nie koniec na tym.

24 września, rok 1915, piątek
Opiszę dalszy ciąg rozprawy wczorajszej, która bynajmniej nie skończyła się na zajęciu pierwszej wsi, Gorodka. Armaty niemieckie waliły w dalszym ciągu i w sąsiedztwie za wsią widać było pożar w innej wsi spowodowany przez pociski działowe. W Gorodku cała niemal ludność pozostała na miejscu. Kosmate poczciwe figurki Poleszuków obojga płci i rozmaitego wieku stały przy płotach grupkami, wyglądały z chat, snuły się po drodze i przyglądały się nam ciekawie. Chętnie i przyjaźnie odpowiadali na nasze przemówienia i powitania; wielu miało manatki i sprzęty gospodarskie wyniesione na dziedziniec przed chatę lub nawet złożone na wóz; pochodziło to z przezorności na wypadek pożaru chaty przy ostrzeliwaniu wsi. Teraz się wszystko uspakajało, syciło ciekawość i po trochu, ociężale, poczciwie, po polesku – otwierało się na nasze powitanie. Dokoła, po podwórzach, po ulicy nawet, po dziedzińcach i przyległościach gospodarskich snuło się bydło, liczne sztuki świń dobrze spasionych, kurki, gdzieniegdzie gąski. Wieś robiła wrażenie zasobnej, pełnej spokojnego dobrobytu, pogodnej. Cieszyło nas to w duchu na myśl, że znajdziemy tu na tym postoju wygodę, ciepło, dostatek mleka, masła i wszelkich produktów, tak miłych dla żołnierza, tym bardziej zaś, gdy się to może obejść bez rabunku, bez gwałtu i plądrowania, drogą przyjaznej pertraktacji i wymiany usług z ludnością miejscową. Chłopi bowiem na ogół częścią ze strachu, częścią z litości dla żołnierza, chętnie nawet udzielają rozmaitych produktów darmo, a już za pieniądze zawsze sprzedadzą z największą chęcią. Gdyśmy wchodzili do wsi i jeszcze gdzieniegdzie gwizdały kulki rosyjskie, nagle gruchnęła wieść, że po chatach są ukryci kozacy; wnet Dąb wysłał nas kilku z II plutonu do spatrolowania sąsiednich chat; poszliśmy Partyka, Pachuta, Grzmot i ja z karabinami w pogotowiu, czekając lada chwila strzału z któregoś z okien lub drzwi, albo ciosu bagnetem czy kolbą przy wejściu do chaty. Nic wszakże nie było: to żołnierz Widuch z I plutonu, znany z rozsiewania ze strachu fałszywych alarmów, na próżno wzniecił

trwogę, biorąc oczywiście jakiś kosmaty łeb Poleszuka, wychylający się z chaty, za głowę kozaka. We wsi już się ukazały szpice kawaleryjskie niemieckie. Usiedliśmy ku końcowi wsi, oczekując, aż nas gdzieś zakwaterują. Jeden za drugim nadchodziły i ściągały się nasze kompanie i bataliony. Tymczasem huk dział nie ustawał i zza wzgórza z sąsiedniej wsi podnosiły się dymy pożaru. Wtem powiedziano nam, że w sąsiedniej wsi Maniewiczach jest piechota rosyjska w okopach i że nasza I kompania otrzymała polecenie szturmowania okopów i wyparcia Moskali. Natychmiast przyszedł Dąb, uszykował nas w tyralierkę i poprowadził bokiem wsi, przez mały pagórek piaszczysty, w poprzek drogi w głębokie trzęsawisko, przez które musieliśmy brnąć z kilometr forsownej drogi do lasu z prawej strony Maniewicz. Trzęsawisko uginało się pod nogami jak klawis olbrzymi; miejscami zapadało się w nie po kolana; obuwie było pełne wody; trzeba było iść szybkim krokiem; pot mi się lał z czoła obficie, ledwie dyszałem. Nic nam wszakże nie przeszkadzało w marszu, żadna kulka nie śmignęła w naszym kierunku; karabin, który trzeba było nieść w ręku, ciążył mi. W głowie i sercu budziły się przeróżne uczucia i wrażenia na myśl o spodziewanym ataku na bagnety. Do tego rodzaju walki mam wstręt nieprzezwyciężony, choć nigdy jej jeszcze nie doświadczyłem. Nie jest to tylko wzdraganie się instynktu samozachowawczego, ale też odraza przed ohydą kłucia żywego człowieka. W lasku Dąb dał nam chwilkę wytchnąć i położyć się. Choć to była chwilka, aleśmy wytchnęli. Ruszyliśmy dalej; wychyliliśmy się z innego skraju lasku znów na trzęsawisko; dzieliło nas ono wraz z rzeczką od Maniewicz, aleśmy już ujrzeli wkraczających do Maniewicz Prusaków; Moskale się cofnęli. Ogień działowy wraz z szarżą pruską z frontu oraz jednoczesne ruszenie naszej piechoty do ataku z prawego skrzydła zmusiły Moskali do odwrotu. Tak więc obyło się bez walki; na noc wróciliśmy do Gorodka, gdzie cały dzień dzisiejszy spędziliśmy.

25 września, rok 1915, sobota
W Gorodku zabawiliśmy przez cały dzień wczorajszy i aż do dziś rana. Przykry był to dla mnie pobyt ze względu na orgie rabunku, które się dokonywały. Nie mogę się oswoić z rabunkiem i zabieraniem dobytku ludzkiego jako zjawiskiem normalnym, towarzyszącym wojnie. Dla mnie jest w tym fakcie ohyda taka, której wyrazić nie umiem. Że żołnierz jest biedny, że w ciężkim krwawym zawodzie swoim, pełnym męki i rozmaitych niewygód, ba – więcej niż niewygód, jest nieraz pozbawiony najelementarniejszych potrzebnych rzeczy, często głodny, zjadany przez wszy, pozbawiony czystej koszuli, która jest dlań przedmiotem nie mniejszej rozkoszy, niż chleb lub niż szampan dla hulaki miejskiego i że mu się przeto więcej wybacza i należy – to pewne. Że nakopie kartofli, że gdzieś koszulę weźmie i przywłaszczy, że soli lub chleba weźmie sobie z chałupy, gdzie znajdzie, że czasem kurkę lub gąskę pochwyci, że nawet wieprzka włóczącego się po wsi upoluje i zakole, by sobie mięsa trochę usmażyć i zapas słoniny czy szmalcu topionego nagromadzić dla omasty ziemniaków – to jeszcze mniejsza z tym. Ale systematyczne rabowanie, plądrowanie chat zamieszkałych i zabieranie wszystkiego, co się chce, wprost na oczach nieszczęsnych gospodarzy, brutalnie, cynicznie, zgoła często ponad miarę potrzeby – to jest plaga i straszna ohyda wojny. A natura ludzka jest taka, że gdy raz się wyprzęże z karbów jakiegoś konwenansu czy zasady, to już traci miarę i dochodzi do wyuzdania. Od ziemniaków do kury, od kury do świni, od świni do rabunku wszystkiego, co się zamarzy – nie ma ścisłego stopniowania – przejść łatwo. A że się to dzieje w pewnym środowisku, to się wypadki takie przeradzają w zwyczaj, w modę nawet, w sport i popisywanie się rabunkiem. Zaczyna brać ten, który ma najmniej skrupułów i najwięcej instynktów rozpasania, a za nim biorą inni, słabszego charakteru, którym to imponuje, a potem jeszcze inni, porządniejsi, dorabiający sofistyczne argumenty dla usprawiedliwienia

swego czynu i uspokojenia sumienia, wreszcie biorą już wszyscy, bo to się staje zasadą, zwyczajem, modą. Niektórzy się nawet wstydzą nie brać, bo to wygląda na mazgajstwo i uchodzi za niezaradność. Gdybym był komendantem i miał władzę, zakazywałbym surowo rabunku i ostro zań karał. Ale bądź co bądź jest wielka, olbrzymia różnica między żołnierzami naszymi, legionistami a Niemcami,w stosunku do rabunku. Nasi biorą i plądrują tam, gdzie nie ma gospodarzy, gdzie chłopi uciekli lub o ile przynajmniej nie widzą. Tylko wyjątkowo rabują tak jawnie i cynicznie. Natomiast Niemcy rabują wszystko, bezwzględnie, z chat zamieszkałych, spod oka gospodarzy, grożąc im i łając. Zachowują się, jak Wandale, jak rozbójnicy. W Gorodku pobrali wszystko – kury, gęsi, świnie, barany – nawet poniekąd krowy. Za krowy niby się kwity wydaje, ale chłop-Poleszuk nie wie, gdzie się ma o kwit upomnieć, jest bezradny wobec Niemców, nie znając ich języka. Dochodziło do tego, że Niemcy chwytali wieprza, kłuli go i patroszyli w chacie wobec samych gospodarzy, zostawiając wnętrzności w izbie. Biedni poczciwi Poleszucy w Gorodku, którzy nas powitali życzliwie i otwarcie, traktując mlekiem, chlebem, masłem, zostali przez Niemców, którzy tu za nami przyszli, obrabowani i ogołoceni doszczętnie. Toteż gniew i nienawiść rozlała się po sercach tych biednych pokrzywdzonych ludzi. Wieczorem zaś wczoraj od jakiegoś ogniska niemieckiego wybuchł pożar, i znaczna część wsi się spaliła. Nasi ratowali, a Niemcy podczas pożaru rabowali jeszcze.

26 września, rok 1915, niedziela
Wczoraj rano przemaszerowaliśmy na kwaterę z Gorodka do sąsiednich Maniewicz. I tu już stali Niemcy przed nami i jednocześnie z nami, toteż i tu wszystko już było zrabowane. Przemarsz Niemców – to plaga prawdziwa dla ludności. Nasi legioniści, choć i wśród nich są instynkty rabunku, są aniołami wobec Niemców. Bądź co bądź, obecność gospodarza hamuje rabunkowe instynkty naszych „obywateli”, którzy uczuć ludzkości nie są pozbawieni. Prócz samej natury miększej i bardziej ludzkiej naszych żołnierzy w porównaniu do buty i bezwzględności Prusaków, działa jeszcze to, że nasi mogą się z tym ludem rozmówić, toteż go rozumieją, podczas gdy dla Niemców lud tutejszy, którego nie rozumieją i którym już z powodu jego wyglądu pogardzają – to bydło, niegodne żadnych względów. Toteż między nami a tym ludem Poleszuków są pewne stosunki ludzkości, gdy względem Niemców u Poleszuków takiego stosunku zgoła nie ma. Zdawałoby się, że Niemcom mniej racji i potrzeby brać cudze i rabować, niż naszym, bo my nie mamy i nie wozimy ze sobą takich zapasów, jak oni, ani też nie mamy takich trenów zasobnych, jak Niemcy. Obiady mamy wprawdzie teraz niezłe, ze świeżego co dzień mięsa, raz nawet, po niedoszłym szturmie na Maniewicze, dostaliśmy spory fasunek rumu, parę razy zafasowaliśmy wino lub herbatę z winem, papierosów mamy względnie dosyć, ale np. z chlebem jest kiepsko, nieraz po 2-3 dni nie dowożą go nam wcale albo gdy dowiozą, to najwyżej po jakiejś 1/3 cząstce niewielkiego bochenka, tak że mamy sami się o takowy starać. Ale u nas we wszystkim są braki, tylko z rzadka coś tam dowiozą z Kowla, a wtedy robi się wielki gwałt i wszystko jest natychmiast rozchwytane. Tymczasem u Niemców wszystko się wiezie równolegle z maszerującym wojskiem; trzeba widzieć, co za kuchnie, co za tabory bogate, co za warsztaty towarzyszą wojskom niemieckim; jakie to wszystko zasobne, porządne, a jak systematyczne i przez jakie konie ciągnione! Aż miło patrzeć. Wobec nich to nasze Legiony wyglądają jak mizerne nieboraki. A przecież nikt tak nie rabuje, tak nie zabiera bezwzględnie wszystkiego, co się pod ręką trafi, jak ci zaopatrzeni we wszystko Niemcy. Zachowują się oni tu i rządzą jak w kraju zdobytym i wydanym na łup. Względy ludzkości, krzywda miejscowych ludzi – nic ich nie obchodzi; na skargi, na łzy, na nędzę są ślepi. Ich przejście przez wsie może się równać chyba tylko

przejściu szarańczy. Prawda, że biją się dobrze, że zwyciężać umieją tak jak nikt, ale też w rabunku są mistrzami. Napatrzyłem się na to w Gorodku i ślady tegoż widziałem w Maniewiczach i Gałuzji, do której dziś pomaszerowaliśmy. Jest wszakże różnica między zniszczeniem, dokonywanym tu przez Prusaków, a pustoszeniem dokonywanym przez Moskali w czasie ich inwazji w Prusach Wschodnich; Prusacy biorą wszystko to, co im się może przydać, Moskale zaś niszczyli wszystko bez różnicy przez samą pasję niszczenia. W Maniewiczach spędziliśmy dzień wczorajszy i zanocowaliśmy. Ja byłem dyżurnym przy komendzie kompanii. Jest to obowiązek przykry, bo mający w sobie dużo cech służby ordynansa; nie jest to wprawdzie usługa osobista oficerom, ale bądź co bądź wyczuwa się bardziej, niż w szeregu zależność osobistą. Nasz zaś dowódca kompanijny Dąb jest człowiekiem w stosunkach osobistych dość nieprzyjemnym; trzyma się dumnie, traktuje ludzi nieco z góry, sucho, nie ma dla nich słówka cieplejszego. Dobry to oficer, ale człowiek-obywatel niezbyt miły dla formalnie mu podwładnych. Robi wrażenie człowieka nie tylko dumnego, ale i zarozumiałego. Nasz pluton miał w nocy jakąś placówkę; ja, jako dyżurny przy kompanii, byłem od placówki wolny; ale wolałbym być na placówce, choć to bardziej męczące, niż być dyżurnym. Dziś rano wymaszerowaliśmy do sąsiedniej wioski na wschód, do Gałuzji. Wymaszerował cały nasz pułk; szła też kawaleria, artyleria nasza i austriacka. Wieś Gałuzja była już poprzednio przez Niemców zdobyta. My obecnie od czasu zajęcia Gorodka i Maniewicz, jesteśmy w rezerwie, to znaczy mamy względny wypoczynek. W Gałuzji ludność zastaliśmy bardzo zniechęconą, oburzoną wielce, bo Niemcy, którzy tu byli przed nami, swoim zwyczajem zrabowali już wszystko. Ludność została bez kur, bez gęsi, bez świń, bez owiec, bez krów, a bodaj że i prawie bez zboża. Ludność przeklina Niemców. Ale najbardziej oburzona jest ludność na stosunek wojska do cerkwi. Rzeczywiście Niemcy kwaterując w cerkwiach przewracają wszystko do góry nogami, rozrzucają obrazy, rozłamują drzwi, roznoszą i rozpraszają księgi i szaty. Sam widziałem w Gorodku ślady tej poniewierki w cerkwi; szatami świętymi się nakrywali, a wśród ksiąg świętych cerkiewnych i wśród ich pięknych opraw kawałki skóry świńskiej i resztki mięsa.

27 września, rok 1915, poniedziałek
Dziś był dzień „gorący" w naszej wojence. Wpierw jednak słówko jeszcze o pewnym epizodzie wczorajszym. Pod cerkwią w wiosce Gałuzji jeden z oficerów V batalionu brygady naszej zabił z rewolweru chłopa, który mu zastąpił drogę z siekierą i chciał się nań rzucić[56]. Chłop bronił dostępu do cerkwi, która oczywiście była już przez Niemców splądrowana. Legioniści wprawdzie dotąd szanowali cerkwie, ale niestety przykład jest zaraźliwy i pochopność do plądrowania bardzo szybko się szerzy. Coraz mniej wiążą ludzi skrupuły, coraz bardziej z karbów moralności i obyczajów społecznych wyłaniają się, przynajmniej w stosunkach na zewnątrz, poza społeczeństwo własnego wojska, pierwotne instynkty człowieka dzikiego. Upowszechnił się u nas zwyczaj rabowania świec z cerkwi. Samo przez się byłoby to niewinne, bo świece są istotnie artykułem niezbędnym, a brak ich absolutny; ale robi się to nieco za brutalnie, bo się przy tym rozbija drzwi, składy wszelkie, szuflady itd. i wszystko się przewraca i rozrzuca. Chłopów, którzy mają szacunek dla swej świątyni, boli to i obraża, a stąd takie smutne wypadki, jak wczorajszy. Ale tu zawinili bardziej Niemcy od nas, bo oni to będąc przed nami, splądrowali cerkiew w Gałuzji. Powtarzam, com już mówił przed paru dniami, że nasi legioniści, nawet ci, którzy mają najbardziej rozpasany instynkt zaboru i rabunku,

[56] Marian Dąbrowski w pracy *Kampania na Wołyniu 2. IX.1915 – 8. X. 1916*. Z cyklu: *Żołnierz I Brygady*, Warszawa 1919, opisuje to zdarzenie jako rozstrzelanie chłopa szpiega, mające służyć uspokojeniu ludności wrogo nastawionej do Legionów i informujących Rosjan o ich ruchach.

są aniołami wobec Niemców. Wszakże od naszych legionistów więcej się należy wymagać, niż od kogoś innego – są oni bowiem rycerzami idei, bojownikami Wolności. Gdy się oburzano u nas na Moskali za profanację kościołów w Galicji, to się tym bardziej należy wystrzegać jak ognia wszystkiego, co może mieć cechę profanacji cerkwi tutaj. Nie o same cerkwie jako takie chodzi, ale o uczucia ludności przywiązane do tych świątyń ludowych.
Wczoraj byłem chory, miałem dużą gorączkę wieczorem i ziębienie. Co to było, nie wiem. Jednocześnie miałem żołądek strasznie zepsuty; skąd – m nie wiadomo, bo przecie gdy wszyscy najedli się świniny w Gorodku aż do przesytu, ja prawie że jej nie tknąłem. Bałem się, że to może już tyfus, ale widocznie była to tylko jakaś gorączka gastryczna. Rano dziś czułem się osłabiony, a tu akurat obwołano zbiórkę i wymarsz. Na razie ciężko było mi iść, ale potem się rozchodziłem jakoś i nadal poszło dobrze. Okazał się to marsz na serio, marsz ofensywny, skierowany do zajęcia linii Styru, do którego już docieramy. Przeszliśmy przez wieś Optową, zaludnioną, zdaje się, przez kolonistów Mazurów, dalej przez wieś Kostiuchnówkę, w której mieliśmy wypoczynek, i wreszcie ruszyliśmy na wieś Kołodija czy Kołodiej[57], położoną już nad samym Styrem, prawie że naprzeciwko miasteczka Rafajłówki[58]. Zadaniem naszym było zająć tę wieś i utwierdzić się na linii Styru. Z dala na prawo od nas znad Styru dochodził huk dział armatnich – niemieckich czy rosyjskich. W każdym razie wiadomo było, że nad Styrem grupują się już gdzieś regularne wojska rosyjskie i ewentualnie ustalać się zacznie linia frontu. O ile byśmy dotarli i utrzymali się na linii Styru, to prawdopodobnie odtąd zmieniłby się ten tryb walki, jaką prowadzimy od czasu wyjścia z Kowla. Byłoby to już nie partyzanckie zdobywanie wsi za wsią od kozaków, stopniowo się wycofujących i mających oczywiście na celu niepokojenie nas i utrudnianie nam pochodu, ale walka, ewentualnie ofensywa regularna. Od wsi Kostiuchnówka mieliśmy do Kołodji nad Styrem coś tylko ze 3 wiorsty. Na Kołodję szedł z frontu nasz batalion I pod wodzą Dragata[59], dowódcy IV kompanii, zastępującego Bukackiego, który objął dowództwo całego pułku (III batalion brał także udział w akcji). IV kompania szła na przedzie, nasza I za nią jako najbliższa rezerwa. Przez cały czas naszego pochodu od Kowla, a pono, jak powiadają nasi starzy żołnierze, zawsze i dawniej IV kompania tak się zawsze potrafiła przez swego dowódcę wykręcić, że zawsze szła w rezerwie, a od wszelkich ataków się usuwała. Dziś wypadło jej iść na czele i spisała się bardzo dobrze. Szliśmy dość forsownie zbliżając się do wsi. Dąb wysłał nasz II pluton na łączniki do IV kompanii. Wtem w pobliżu wsi na lewym skrzydle naszym, kędy szło boczne zabezpieczenie IV kompanii, rozległy się strzały karabinowe. Jak się okazało, zabezpieczenie boczne, podchodząc krzakami pod wieś, natknęło się na ukrytych kozaków. Kozacy za krzaków celnym strzałem w pierś zabili kaprala z IV kompanii, Brysia[60] (pseudonim) prowadzącego zabezpieczenie. Posterunek

[57] Poprawna nazwa Kołodia.
[58] Römer mylnie pisze Rafałówki.
[59] Władysław Dragat-Orzechowski (1885- po 1938), członek ZWC i ZS. Po wybuchu wojny zorganizował we Lwowie półbaon uzupełniający, z którym 13 X 1914 r. dołączył do 1 pp. Legionów. Ranny 24 XII 1914 r. w czasie bitwy pod Łowczówkiem. Powtórnie ranny 4 VII 1916 r. pod Kostiuchnówką. W wyniku kryzysu przysięgowego 16 VII 1917 r. zwolniony z Legionów i internowany przez Niemców w Bebiaminowie. Po uwolnieniu z obozu w 1918 r. wstąpił do PSZ. Przydzielony do 2 pp., awansował na mjra piechoty. Po rozbrojeniu okupantów przeszedł do WP. Dowodził baonem 9 pp. Leg., a potem 1 pp. Leg. Kierował nim w działaniach na froncie litewsko-białoruskim i na Łotwie. W l. 1929-1930 kierownik Centrum Wyszkolenia Piechoty. Od X 1930 r. dca piechoty dywizyjnej 22 DPG. W 1934 r. został pomocnikiem dowódcy OK. nr III w Grodnie ds. uzupełnień. Potem przeniesiony w stan spoczynku.
[60] Stanisław Bryś, sekcyjny 4 kompanii I batalionu 1 pp. I. Brygady.

kozacki wnet się cofnął, ostrzeliwany przez naszych. Myśmy przeczekali strzelaninę i wkrótce po otrzymaniu meldunku, że kozacy wycofali się ze wsi, wkroczyliśmy do niej. Dokończę jutro.

28 września, rok 1915, wtorek
Nie skończyło się wszystko tak pięknie po zajęciu przez nas wsi Kołodji. Zajęcie Kołodji, a przeto linii Styru na razie kosztowało nas tylko jednego człowieka zabitego, kaprala Brysia. Wieś Kołodję zastaliśmy wyludnioną zupełnie, pustą. Tylko czarne świnie, proste poleskie, przedmiot pożądania żołnierzy, snuły się w wielkiej ilości po opuszczonej wsi. Naprzeciwko przed nami, za Styrem, widać było Rafajłówkę z cerkwią i wzgórza jako dobry punkt obserwacyjny dla nieprzyjaciela. Dopierośmy wszakże zostali zakwaterowani we wsi i dopiero pary z plutonów wybrały się na wieś po świnie lub gęsi, gdy wnet rozległy się na prawym skrzydle naszym za wsią strzały karabinowe rosyjskie, dość gęste. Jednocześnie obserwatorzy spostrzegli liczny oddział kawalerii rosyjskiej, przynajmniej pułk, jak powiadał Bukacki, postępujący na lewym skrzydle naszym od Styru do lasu. Można było się domyślać, że Moskale zechcą nas atakować z frontu, jednocześnie oskrzydlając i zachodząc kawalerią tyły. Zaczął się gorączkowy ruch, narady między komendantami. Postanowiony został odwrót. Należało się spieszyć, bo już zmrok był bliski, a sytuacja nasza we wsi była niepewna, siły zaś rosyjskie, popierane ewentualnymi rezerwami zza Styru, były przeważające i w każdym razie lepiej usytuowane. Za nami tymczasem przywlokły się już do wsi tabory, kuchnie, itd. Rozdano natychmiast większy zasób amunicji III i IV kompaniom naszego baonu, którym wyznaczono osłonę tyłów. Zaraz też śpiesznie wymaszerowaliśmy. Nasza kompania osłaniała w marszu tabory, kilku zaś z naszego plutonu, i ja w ich liczbie (mianowicie Mars, Knapczyk, Grzmot i ja pod komendą zastępcy sekcyjnego Partyki), zostało wyznaczonych do zabezpieczenia bocznego na prawym skrzydle odwrotu. Gdyśmy dopiero wyszli za wieś, gruchnęły gęsto strzały: to Moskale atakowali nas cofających się; zawrzała też gorąca walka między nimi a naszymi III i IV kompaniami. Kulki moskiewskie gęsto gwizdały koło nas, gdyśmy się cofali. Przechodząc przez krzaczki pode wsią, ujrzeliśmy ciało zabitego kaprala Brysia, którego właśnie zabierano na nosidła ręczne, by wziąć ze sobą i pochować nazajutrz w Kostiuchnówce. Szliśmy w zabezpieczeniu, mogąc w każdej chwili natknąć się na oskrzydlających Moskali. Przechodząc przez jedną polankę w lesie, Grzmot i inni, mający dobry wzrok, ujrzeli w pewnej odległości od nas na prawo wpierw kilku pojedynczych ludzi, potem kolumnę całą; myśleliśmy wpierw, że to są Moskale, ale się okazało, że tamtędy posuwa się w odwrocie III baon. Szczęśliwie bez wypadku doszliśmy do Kostiuchnówki, położonej za rzeczką i bagnami, w której stanęliśmy. Po nas nadciągnęła III i IV kompania, które osłaniały tyły i stoczyły walkę z Moskalami. III kompania ma tylko trzech rannych, zresztą lekko, IV żadnych strat, mimo że walczyła najdłużej i cofnęła się ostatnia, po cofnięciu się III. Noc mieliśmy dość spokojną. Z wieczora wprawdzie wyznaczono nam dwie placówki, ale potem je skasowano po zbadaniu terenu bagnistego, który broni z tej strony wieś i skierowano nas na kwaterę. Dziś przez dzień cały staliśmy w Kostiuchnówce. Nasz II pluton wraz z plutonem III wyprowadzono za bagna w kierunku Styru i zwrócono z drogi na prawo do bocznego młyna. Tam zajęliśmy placówkę, a ponieważ byliśmy od naszej Kostiuchnówki odcięci bagnami i rzeczką, a przed sobą mieliśmy gęste zarośla leśne, więc w przewidywaniu ataku Moskali dano nam III pluton za rezerwę. Tu na tej placówce, na polance leśnej, otoczonej gęstymi krzakami, po raz pierwszy musiałem kopać okop. Grunt był torfiasty, miękki i brudny, do kopania względnie łatwy, ale z wierzchu gęsto darnią i korzonkami sosnowymi porosły. Napociłem się dobrze kopiąc. Na razie szło mi kiepsko, ale potem inni mi

wskazali, jak to robić i sam się już wprawiłem. Koło zmroku z sąsiednich placówek zaczęły padać liczne strzały karabinowe, nawet kilkakrotne salwy. Zamieniliśmy się we wcielenie czujności. Na noc nas jednak odprowadzono do wsi.